

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 7. VIII.
1960 r.
Nr 31 (127)
Cena 1 zł

JERZY KOWALSKI

ARTYSTA W „PRZE- MYSLE”

Jakby w przeczeniu chybionych rozkoszy urlopowych jedna z najciekawszych tegorocznych wystaw plastycznych urządzono w pełni plaskiego lata.

Wystawa otwarta w gmachu warszawskiej „Zachęty” obrazuje dorobek dwóch wyższych uczelni plastycznych o specyficznym profilu: Wrocławskiej — współpracującej z przemysłem ceramicznym i szklarskim oraz Łódzkiej — związanej z przemysłem lekkim.

Dorobek? Niby tak — ale grubo niepełny. Obszerny lokal „Zachęty” okazał się dla podobnej imprezy zbyt ciasny. Jak informują organizatorzy, pokazano zaledwie dziesiątą część prac wykonanych w ciągu ostatnich dwóch lat. Ograniczono się przy tym do zademonstrowania jednego tylko rodzaju studiów — jakby do podsumowania ostatecznych wyników kształcenia studentów: przedstawiono niemal wyłącznie projekty już zrealizowane w materiale. Nie zobaczyliśmy więc — rzeczy najbardziej może interesującej i zawsze uwzględnianej na dorocznych wystawach szkolnych — samej metody nauczania: drogi dochodzenia do fazy końcowej przez różne etapy pośrednie — od studium z natury do wykrystalizowania się najlepszej koncepcji projektu.

Szkoda. Nie wzory bowiem, nawet najpiękniejsze, stanowią istotne osiągnięcie



Studium Odeży Prac. prof. W. Borowskiego

uczelnia, ale właśnie owa metoda nauczania, wypracowana w toku dyskusji i eksperymentów, zupełnie samodzielnie, ponieważ nie było dotychczas w Polsce stosownych tradycji. Pracę szkół utrudniał w dodatku do niedawna powszechny, a jeszcze gdzieśgdzie pokutujący, brak zrozumienia dla wartości estetycznych produkcji. Brak zrozumienia że na jakość, a więc i wartość handlową produktu, nie składa się jedynie doskonałość techniczna. To lekceważenie dla estetyki wzornictwa daje reperkusje jeszcze dzisiaj — odbija się nieko-

rzystnie na wyposażeniu technicznym szkół, zwłaszcza Łódzkiej. Niemal od początku istnienia PWSSP w Łodzi ustaliła swój profil zgodnie z potrzebami wielkiego centrum przemysłu włókienniczego.

Dokończenie
na str. 7

Z tamtej strony KAMERY str. 3



Kadry z filmu Wojciecha Fluca „Ludka” nakręconego w WFO

JERZY BRODACZ

ŻYCIE na metry kwadratowe

„Osobie samotnej, sytuowanej, wynajmę pokój w centrum z wygodami, telefon”..

„Wynajmę pokój. Warunek: komorne za pół roku z góry”..

„Scmotnemu, kulturalnemu panu z inteligencji wynajmę słoneczny pokój na Wierzbowej. Oferty pod”..

1.

— Jest jedna rzecz. Pokój nieumeblowany. Zupełnie goły. Ale za to mozesz pan w nim robić co pan chcesz. Zupełnie co pan chcesz... Tak, że to nic nie szkodzi.

Nie wiedziałem co mogę chcieć robić w pokoju, z tej racji, że jest nieumeblowany zazwyczaj to raczej szkodzi. Nie odchodziłem jednak, gdyż gospodarz zaparzył kawę. Zanim ją wypić dowiedziałem się, że gospodarz jest samotnym inżynierem. Słuchałem.

— Łazienka jest. Telefon będzie. A komorne... no, co pan będziesz mógł tu pan będziesz płacił. Pogodzimy się. Pogodzimy. Możemy nawet prowadzić wspólne gospodarstwo. Tak że zupełna swoboda...

Co będę mógł to będę płacił, wspólne gospodarstwo ale swoboda, mebli nie ma, ale nie szkodzi... Wreszcie dowiedziałem się, że inżynier chce wynająć „jakieś fajnemu chłopakowi” — żeby samotnie nie mieszkać.

Miałem już za sobą dwa takie mieszkania. Ale w obu wypadkach były to kobiety. Bały się samotności. Jedna

Potrzebowałem pokoju. Przez dwa tygodnie czytałem pilnie kolumnę ogłoszeń w „Dzienniku Łódzkim”. Miałem dziesiątki powycinanych skrawków gazetowych i ani się domyślałem, że w tych kilku słowach zawarta jest nieraz treść wstrząsających dramatów życiowych. Dla mnie to były tylko warunki i adresy — a dla tych, którzy zamieszczali te oferty, była to niejako syntetycznie podana sytuacja życiowa. Ogłoszenia można czytać jak literaturę — ale trzeba się tego nauczyć. Miałem ku temu okazję, gdy przez miesiąc zwiedzałem wszystkie po kolei dzielnice Łodzi.

Tak już jest, że reporter, nawet gdy złatwia swoje życiowe sprawy — nie przestaje być reporterem. Jeżeli nie złatwiłem czegoś jako interesant — to nie straciłem przynajmniej jako reporter. Poznałem powoli przyczyny, dla których w przeladowanej aż po dachy Łodzi, u ludzi ściśniętych na ustawowych kilku metrach, istnieją jeszcze całe pokoje do wynajęcia. Gospodarze zresztą nie wyjaśniali, skąd wziął się u nich wolny pokój — a jeśli już to czynili — były to historie banalne: o mężach, którzy odeszli z inną, albo pomierali, synach zabranych do wojska lub więzienia, udanych partiach córek wydanych za mąż z mieszkaniem, lub dzieciach, które mogą spać w kuchni.

Trzy historie spośród zasłyszanych różniły się od innych. Ich bohaterami były w jakimś stopniu same mieszkania.

Dalszy ciąg
na str. 4



Fot. A. Kondratiuk

Nasza szkoła

Anemicznie zabrzmieli i już umilkli oklaski dla Brezy za „Spizową Bramę”. Może jeszcze ktoś napisze na jej temat jakiś poważniejszy esej, skoro póra wyemczą się i wrócą od wód. Może „Tygodnik Powszechny” wypłuje wodę z ust, bo jego współpracownicy zapowiadają ponoc po kawiarzach publikację na ten temat i to nawet entuzjastyczną (!). Za kilka lat, jak Bóg da — doczekamy się wznowienia. A szczyt tego, co w związku ze „Spizową Bramą” może się wydarzyć, to narodziny inteligentnego urzędnika Ministerstwa Oświaty, który wpisze książkę na listę lektur szkolnych. Jest to zresztą mało prawdopodobne i nie ma najmniejszego znaczenia. Na liście tej i tak panuje tłok ogromny i nowicjusza nikt na niej nie zauważy.

Uważam „Spizową Bramę” za najwybitniejszą pozycję napisaną po polsku w ciągu szesnastolecia. Nie jestem w tej kawce na „naj” osmactniony. Ale też godzę się pokornie z tym, iż mimo istnienia tak licznych instytucji do sprawowania mecenatu kulturalnego i kierowania polityką rozpowszechniania i lansowania — nikt nie sprawi, by szum był adekwatny do dzieła, by z Brezy uczynić bestseller, żeby Polska go przeczytała, jeśli nawet nie ta spod

strzech, to spod blachy, dańcówki i papy. Godzę się z tym pokornie, mimo, że książka jest nie tylko wybitnie piękna i mądra, ale ma też rozliczne i wielowarstwowe walory propagandowe, na które wspomniany aparat przynajmniej w gębie, jest tak uczulony. To jest normalne. Do tego się przywykło. To jest nawet wytłumaczalne. Tak rzadko ukazują się u nas coś godnego lansowania, że i sama zdolność

pejski odbiorca nie ma nawyku czytania pozycji politycznych. Dlatego światowym skupem łatwiej się cieszyć będzie Peyryffet — płaski, skandalista z lekka grafomanijny na watykańskie tematy, niż Breza, któremu nie godzien jest on liczyć mikrogrupy na podszwach. Tak było, tak jest i tak być musi. Właśnie dlatego, że nasz ustrój stwarza możliwość wzniesienia się ponad rynkowe prawidłowości i

kicisz małej ekipy sportowej zagranicę a nawet koszty mogą się zwrócić. To wszystko.

Ponieważ niby chodzi tu tylko o pieniądze pozwól sobie zwrócić uwagę, że do Brezy nie tylko prawdopodobnie się nie dołoży, ale nawet można na nim zarobić. Dałbym głowę za liczne wydania wtórne i tłumaczenia. Ale też uważam, że pieniądze w ogóle nie mogą tu grać decydującej roli.

wejścia na rynek z polską książką już nie na prawach regionalnej ciekawostki. Już nie dlatego, że treść jest męczeńska albo bohaterska, albo egzotycznie-duszolowiańska, ubrana w pasiaki i operująca przysłówkami. Po prostu, że wytrzymuje konkurencję międzynarodową, reprezentuje światowy poziom i uniwersalną problematykę. To jest szansa awansu! Nie tylko dla Brezy.

by to w naszych urzędach i „komitetach współpracy” na wygraną na zagranicznej giełdzie wydawniczej i nie tylko wydawniczej. A z trzeciej strony rozwalilo by mit o tym, że z Polski w ogóle wywozić można tylko hopsasa, heroizm i inne regionalne rekwiizyty. Dowiodłoby, że mamy również dorobek myśli i warsztatu twórców.

I wreszcie warto podjąć w stosunku do Brezy działania eksportowe z prostego humanitaryzmu. Cóż zawiązał ten człowiek, że urodził się Polakiem i pisze tylko po polsku? Czy mimo, że taki nam jest mądry i taki piękny i taki w ogóle i ma takich połączonych protektorów i tylu etatowych mecenasów do końca życia ma zostać li tylko „najpiękniejszą dziewczyną we wsi”?

BELFER.



Najpiękniejsza dziewczyna we wsi

do podjęcia tej czynności uległa degeneracji niczym mięśnie paralityka.

Bardziej denerwuje, że Breza mógłby zrobić światową karierę i że jej nie zrobi.

Mógłby ją zrobić nie tylko dlatego, że napisał rzecz wyjątkowej jakości. Również dlatego, że temat jest uniwersalny i dla świata pasjonujący. Ze jest to pierwsza książka nie zaściankowa, mimo że przetykana polskimi sprawami i operująca spojrzeniami przez polski pryzmat.

Karierę tej Breza nie zrobi dlatego, że pisał po polsku, to znaczy w języku nie światowym. Sfery decydujące o edycjach i lansowaniu nie przeczytają „Spizowej Bramy”, a gdyby nawet to uczyniły, nie podejmą ryzyka jej lansowania. Euro-

przedstawienia Brezy Europie zachodniej. (Nie jest to bowiem książka z uwagi na swą tematykę nieco mniej atrakcyjna dla wschodu).

Wysiłek byłby tu nie taki wielki. Ot, wystarczy wydać z kasy Ministerstwa Kultury kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich na przetłumaczenie Brezy na francuski. Czyli nie więcej niż wynosi dotacja dla zespołu świetliwego w Peimiu. A potem w miarę konieczności sfinansować niewielką edycję książki w jakimś poważnym domu wydawniczym w Paryżu. Będzie to kosztowało nie więcej niż wysłanie ja-

Eksportujemy polską kulturę i sztukę trochę tak jak Indianie swoje wyroby. „Mazowsze” i kiosk „Cepelli” i „Mazowsze”. Mamy na sprzedaż tylko regionalny folklor. Jeśli od czasu do czasu trochę idą w świat polskie filmy, to na podobnej zasadzie. Nie dosłownie, albowiem ani na Kurpiach, ani pod Łowiczem, ani na Podhalu w chłopskich chałupach, w długie wieczory zimowe nie kręci się filmów. Ale też epatujemy na ekranie lokalnymi czkawkami i dzięki temu jesteśmy oglądani.

Breza stwarza możliwość

Dla polskiej za przeproszeniem literatury w ogóle.

Nie mamy w naszym sklepiu geniuszy. Nie wielu posiadamy twórców wybitnych. Ale skoro do tego wszystkiego nie potrafimy się sprędać — jesteśmy skazani na nieistnienie na rynku światowym.

Spełnienie moich marzeń w sprawie „Spizowej Bramy” mogłoby stworzyć ważny precedens. Z jednej strony na światowy rynek weszłaby polska książka, co mogło by utworzyć drogę dalszym, gdyby takie powstały. Ten fakt z kolei mógłby oddziaływać na twórców w Polsce, dając pisarzom szerszą perspektywę awansową, pobudzając łaknienie na premie za dzieła o pewnej randze i uniwersalności. Z drugiej strony stworzyło-

WINCENTY KOTERBSKI

ŚLADAMI AKCJI „W”

Fakty i cyfry są niepokojące: co roku rejestrujemy w kraju ponad 35 tys. zarządzeń rzeźniczek i kila, ponad 100 przypadków kily wrodzonej u noworodków oraz widoczny w ostatnim okresie wzrost kily świeżej objawowej (w 1959 r. 5 tys. przypadków). Sytuacja ta pobudziła do działania Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Opracowano ono i złożyło w Sejmie projekt ustawy przeciwwenerycznej, która wnosi istotne zmiany. Oto najważniejsze z nich: o ile osoba zarażona względnie podejrzana o zarażenie uchyli się od badania i leczenia, lekarz poradni „W” będzie mógł zarządzić przymusowe leczenie. Osoby wyleczone będą zobowiązane pod rygorem prawnym do poddawania się co pewien czas badaniom kontrolnym.

Projekt ustawy nadaje kierownictwo poradni „W” prawo wydawania decyzji w sprawie wezwania podejrzanego o chorobę do poradni, umożliwiała lekarzom i pielęgniarkom społecznym wizytowanie chorych wenerycznie w domu w celu zebrania danych o warunkach życia i pracy (dotychczas wizytowanie odbywa się bez ustawowego uzasadnienia); ponadto zobowiązuje MO i poradnie „W” do wzajemnego przekazywania informacji o chorych wenerycznie w rodzinach. Ponieważ są one „lotne” i niechętnie dostępują się do wskazań lekarza, projekt ustawy przewiduje tworzenie zakładów lecznictwa zamkniętego

o zaostrzonym rygorze. Ponadto Ministerstwo Sprawiedliwości dążąc do ograniczenia nierządu karalnego proponuje podlegać prostytutki do odpowiedzialności karnej za wścizność i zaciępanie przechodniów w miejscach publicznych.

Dr Leon Nitecki dyr. Woj. Przychodni Wenerycznej dla m. Łodzi należy do tych praktykujących lekarzy, którzy znajdują czas na działalność społeczną i profilaktyczno-leczniczą. Przy czym nie zraża się trudnościami. Ostatnio np. prostytutka z „elity” lokalowej oskarżyła dra Niteckiego o naruszenie zasad wolności obywatelskiej (!) ponieważ zlecił on MO doprowadzić ją do wstępnego badania jako podejrzaną o chorobę weneryczną. Sąd powiatowy sprawę odrzucił. prostytutka natomiast nie stawiała się do badania i nadal „urzęduje” w lokalach. A więc jeszcze jeden dowód wskazujący na to, jak bardzo potrzebna jest ustawa przeciwweneryczna zakładająca, przymus badań wstępnych, leczenia oraz badań kontrolnych pokłiwych.

Organizacja na medal

Przypatrzmy się funkcjonowaniu łódzkiego lecznictwa wenerycznego „od kuchni”. Pięć poradni, w tym cztery o podwójnym składzie „białego personelu” oraz poradnia dla matki i dziecka kilowego, obsadzo-

nych jest w większości lekarzami — specjalistami II stopnia. Czulk poradni w terenie stanowi osiem pielęgniarek społecznych, popularnie zwanych wywiadowczyniami. Są to przeważnie kobiety w średnim wieku, mające własne rodziny. Najenergiczniejsze z nich pp. Chajdowa, Stradowska. Leklerk dokonują ponad sto wywiadów miesięcznie, postępując z osobami podejrzanymi o choroby weneryczne taktownie i dyskrecyjnie. „Jeżeli mam być szczera — zwierza nam się jedna z nich — to muszę powiedzieć, że dużo zawdzięczamy kursom, dokształcającym, które organizuje dla nas Wojewódzka Przychodnia. Kierujemy się dewizą: nie jest wskazane straszyć podejrzanego skutkami choroby czy też konsekwencjami prawnymi, należy natomiast przekonać o konieczności przeprowadzenia badań lekarskich odwołując się do dyskrekcji i świadomości obywatelskiej podejrzanego”.

Centralna kartoteka, w której od 1945 r. ewidencjonuje się około 3 tys. osób chorych wenerycznie, ułatwia odszukanie chorego w razie przerwania przezeń leczenia.

Kila jest jednak chorobą złośliwą i niekiedy się odzywa. Dlatego przemysłowy dr Nitecki stworzył przy Wojewódzkiej Przychodni Ośrodek Konsultacyjny. Przez okres kilku lat raz w roku ośrodek wzywa osobę z wyleczoną kilą na badanie ogólne, dokonywane przez internistę, okuliste, neurologa. W razie stwierdzenia po-

wikłań pokłiwych kieruje się chorego do szpitala.

Współpraca Wojewódzkiej Przychodni z Oddziałem Macierzyństwa i Ochrony Dziecka przy Wydz. Zdrowia Prez. MRN oraz z poradnią „K” (poradnie przeżyła ją rozmasz wydziałowy w laboratorium Woj. Przychodni) zapobiega występowaniu kily wrodzonej u noworodków i umożliwia wykrycie u ciężarnych matek przeciętnie od 20—30 przypadków rzeźniczek w ciągu kwartału.

Leczeniem ich zajmuje się specjalna poradnia dla matki i dziecka kilowego kierowana od 1948 r. przez dr Zofię Olszewską, która jednocześnie pełni obowiązki asystenta przy Katedrze Dermatologicznej Akademii Medycznej w Łodzi.

— Moje pacjentki przeważnie pochodzą z rodzin niezamożnych. Czasem wszystkiemu same są winne. Oto przykład: pewna matka, która wiedząc, że ma zarażoną kilę zgłosiła się dopiero do poradni „K” i do nas w dziewiątym miesiącu ciąży. Niektóre matki bardzo się martwią i płaczą, zwłaszcza wówczas, gdy chorobę wykryto u niej, a u męża nie.

— Może pani doktor zdradzi nam postępowanie w takich wypadkach?

— Przede wszystkim cierpliwie wysłuchuję skarg i żalów matki i w miarę swoich umiejętności staram się być mediatorem między żoną i mężem. Jeżeli oboje są zarażeni, wiadomość o tym przyjmują zazwyczaj z rezygnacją. Wówczas wypada mi tylko goraco zachęcać do wytrwałego leczenia.

Do trudności „osobistych” dra Niteckiego, o których wspominałem na początku wypadła dodać jeszcze kilka innych o szerszym znaczeniu: 282 łódzka skórno-weneryczna dla m. Łodzi i woj. łódzkiego, to stanowczo za mało! Oby więc jak najszybciej Wydział Zdrowia Prez. Woj. RN zrealizował szlachetny zamiar otwarcia przy szpitalu w Zgierzu oddziału skórno-wenerycznego.

Pewną trudność społeczną sprawiają dziewczęta w wieku 14—17 lat, które ukończyły szkołę podstawową, lecz nie mogą być przyjęte do pracy, a dalej uczyć się nie chcą lub nie mają po temu warunków. Przyjeżdżają one do Łodzi ze wsi i miasteczek, nocie spędzają na ławce w parku i często stanowią obiekt zainteresowania sutenerów. Mając to wszystko na uwadze, znalazła się grupa osób z otwartą głową i sercem, które w piątkowię 1958 r. powołały do życia pierwszy i dotychczas jedyny w Polsce Społeczny Komitet do Walki z Prostytucją i Chorobami Wenerycznymi przy PMRN w Łodzi.

Przewodniczącą Komitetu dr Henryk Ziolkowski wyjaśnia: — Do naszego aktywu należą osoby z różnych środowisk społecznych, którym te sprawy leżą na sercu. Na razie, z braku funduszy Komitet organizuje Wystawy Przeciwweneryczne, urządza prelekcje i odczyty. Warto nadmienić, że wszyscy łódzcy dermatolodzy zobowiązali się honorowo do wygłaszania odczytów. Wyświetla się specjalne filmy. Dobiliśmy się, że lekarze przemysłowi wygłaszają pogadanki o chorobach „W” przez lokalne radiowęzły. A zamierzenia na przyszłość? Chcemy otworzyć dom noclegowy dla przyjezdnych dziewcząt i zakład resocjalizacyjny dla bezdomnych prostytutek. Sprawa rozbija się o dotacje, których oczekujemy z Wydziału Opieki Społecznej Prez. RN. Z pewnością również warto by było — są to już moje uwagi — aby Komitet podjął się koordynowania w porozumieniu z Sekcją do Walki z Nierządem MO pracy pielęgniarek społecznych i opiekunów terenowych łącząc pojedyncze przedsięwzięcia w szeroką ofensywę przeciwko nierządowi i chorobom wenerycznym.

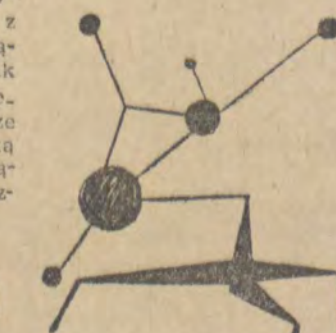
O skutkach

Powszechnie wiadomo, że po przeprowadzeniu akcji „W” w 1954 r. — a dała

ona bardzo dobre chociaż jednorazowe wyniki, nastąpiła stagnacja w zwalczaniu chorób wenerycznych. W dzwonek alarmowy uderzono wówczas, gdy krzywa zarazeń zaczęła rosnąć. Powstały wtedy m. innymi zamknięte oddziały dla chorych wenerycznie przychodni w Węherowie i w woj. wrocławskim.

Łódzcy wenerolodzy na czele z dr Niteckim szybko jednak zawinęli rękawy i wzięli się do pracy. Dobrze zorganizowane lecniczo profilaktyczne i rozpoznawcze daje nadspodziewane wyniki. W 1954 w trakcie akcji „W” — wykryto 64 przypadki świeżej kily, w 1957 r. — było ich już — 338, po czym zaczyna się zarysowywać spadek: w 1958 — 256, w 1959 — 156. Podobnie rzecz się ma z rzeźniczką. W 1955 Woj. Przychodnia zanotowała ponad 2 tys. przypadków, w 1959 — 1467.

Jak wielki postęp uczyniła w zwalczaniu chorób wenerycznych Łódź znana dawniej nie tylko z wyrobów włókienniczych, ale i z prostytucji i kily, wykazuje skromne porównanie dzisiejszego stanu chociażby z r. 1945 kiedy wykryto 2800 przypadków świeżej kily. Łódź może być więc śmiało przykładem dla takich miast jak Warszawa, Katowice, Gdańsk, Szczecin, gdzie zachorowalność weneryczna wciąż jest jeszcze wysoka.



str. 2 **odlotosu**

wdowa druga wariatka. A ten był tylko dziwny. Opowiedział mi swoją historię, a właściwie historię swego mieszkania. Był widać jednym z ludzi, którym się wydaje, że jeśli tylko zwierzą się komuś ze swoich życiowych kłesk, głupstw lub pechów — choćby tym kimś miał być pierwszy lepszy z ulicy automatycznie zawarta została transakcja, zobowiązująca tego kogoś do moralnych świadczeń na rzecz kontrahenta.

Kandydat na mojego gospodarza tuż przed maturą zaprzyjaźnił się z dziewczyną młodszą od niego o cztery lata, on studiował — ona chodziła do szkoły. Flirt był bezkonfliktowy i ustalony. Student dzień w dzień wciął kolacyjkę w mieszkaniu swojej dziewczyny, a mama podsuwała mu największe kotlety traktując go już wówczas właściwie jak zięcia. Rodzice dziewczyny byli bardzo zadowoleni z tego układu stosunków. Koleżanki ich córki miały dopiero w przyszłości przeżywać rozstania, zawody, niepewność, nieudane małżeństwa, niezrealizowane sny o małżeństwie i diabli wiedzą jakie jeszcze dramaty. A oto przestał ich córki siedzieli na krześle, winała befszytkę, była miła, przystojna, inteligentna, studująca, z przyszłością, zakonchana i... udzielała bezpłatnych korepetycji. Wszystko było pewne i omówione. Ślub miał się odbyć zaraz potem, jak narzeczony uzyska dyplom i rozpocznie pracę, a panna złoży egzamin maturalny. Rodzice, mimo że wychowywali córkę w tak zwanych surowych zasadach, przytykali oczy na to, gdy czasem familijnie kolacja nie odbywała się, a córka w ogóle nie wracała na noc. Udawali, że tego nie zauważają, uznając, że transakcja matrymonialna w zasadzie została już niejako in blanco zawarta.

Stosunki między młodymi nigdy i nieczym nie zostały złamane. Lata płynęły. Przywykli do siebie, przywiązali się, przypasowali — jak w małżeństwie. A i miłość podobno była wielka.

Kiedy mój inżynier został inżynierem, już w pół roku później objął dwa pokoje z kuchnią, łazienką, balkonem i szafą w ścianie, mieszkanie przydzielone z niebiurokratyczną myślą o przyszłej żonie i ewentualnym dziecku, lub dzieciach.

Kłopoty, konflikty, a z czasem i dramaty zwalily się nań akurat w momencie, kiedy mu się zdawało, że życie skrupulatnie zaplanowane i troskliwie ułożone we właściwej kolejności — pozbawione zostało możliwości fikcji koczolików. Rodzice panny, którzy dotychczas nie tykali tego tematu wobec uzyskania mieszkania umożliwiającego małżeństwo zażądali bez ogródek ślubu kościelnego. Inżynier nie miał na to ochoty. Uważał, że przebycie, takiej, sprzecznnej z jego poglądamy ceremonii byłoby głupie i poniżające. Myślał o tym z nieśmakiem. Powiedział: „Nie”. Ale też nie zakładał, iżby ta sprawa, ta godzina spędzona w kościele warta była rezygnacji z pożądanego i tak dawno już zaplanowanego małżeństwa. Czekał, jak to się ułoży.

„Nie” dziewczyny było od samego początku bardziej

zdecydowane. Po prostu dla niej sama sprawa była ważniejsza. Mimo tego, a może właśnie dlatego, że jej ateizm liczył sobie niewiele lat życia, akurat tyle, ile związek z inżynierem, że był poglądem importowanym wprost z tego źródła. Jej sprzeciw był pryncypialny uparty neoficko bezkompromisowy.

Inżynier objął w posiadanie nowe mieszkanie, ale się do niego nie wprowadził. Po dawnemu mieszkał ze swoją matką. Wspólnie z dziewczyną postanowiono poczekać, dać rodzicom czas by się przyzwyczaili do myśli o czysto cywilnym ślubie. Chcieli ich powoli przekonać.

Czas biegi. Nic się nie zmieniło. Ale stosunek kandydatów na teściów do kandydata na zięcia stawał się coraz bardziej zimny. Wreszcie niesposób było kontynuować obrządku kolacyjnego.

Mieszkanie z kuchnią i łazienką czekało. Dziewczyna podjęła z rodzicami zasadniczą rozmowę, potem drugą, trzecią. Obie układające się strony nie wykazywały tendencji do kompromisu. Dziewczyna postanowiła opuścić dom, wziąć ślub i zamieszkać w nowym mieszkaniu. Ostatecznie, jak wiadomo z rodzicami po kilku miesiącach przeprosi się. Nie masz lepszych argumentów niż fakty dokonane.

Nie opuściła domu. Sprawili to dziwny spiót okolicz-

Pomyślałem sobie: tak oto wymarzone ongiś mieszkanie zmienia się w rodzaj celi, do której pragnie się ściągnąć... współwzięcia... Zrozumiałem, że przyjęcie tej oferty pociąga za sobą presję moralną. Czy stać mnie było na tak wysoką cenę?

2.

Jedna z ofert brzmiała jak następuje: „Można wynająć kawalerkę trzecie piętro Wojska Polskiego numer taki i taki. Trzeba przyjąć do dozorczy mieszkania jeden”.

Dozorczyńni obejrzała mnie uważnie, poprowadziła na to trzecie piętro w dłuższym przemówieniu zwróciła uwagę na wszystkie zalety lokalu i ogłosiła zakończenie konkluzji:

— Niech się pan zdecyduje. Pan zdaje się spokojny. To będzie spokój. Bo przedtem panie to tu milicja codziennie przychodziła. A to i prowadził ją na górę i zeznawaj i na komisarjat wezwania i do sądu na świadka. Panie życia ja z nimi nie miałam...

Od dozorczyńni poznałem tę historię tylko w grubszych zarysach i to od strony takich detali, kto komu podbił oko i jacy świeci panscy powinnj się byli nad nimi wszystkimi zlitować. Całą natomiast historię zrekonstruowałem bardzo łatwo przejrzawszy pokaźną tekę akt sądowych.

Zaczęła się ona od tego, iż pewien grzyb tak zadowolony był w baraku stojącym na Bałutach, a mieszczącym hotel robotniczy, że dach groził zawaleniem. Lo-

wił sobie połowe łóżko — i jakoś to było. Mimo, że mieszkanie liczyło sobie troje lokatorów — on znów, jak na początku, czuł się samotny. Długo wieczorami włóczył się po ulicach — aż spotkał wreszcie pannę, która zdecydowała się rozprzeszyć jego samotność i towarzyszyła mu w tych spacerach. Ale nadeszła zima, spacery przestały być atrakcyjne i nie sprzyjały wzmocnieniu uczuć. Technik wreszcie się zdenerwował: kto jak kto, ale to przecież on ma własne mieszkanie — i to nadane mu prawomocnym nakazem jako fachowcowi w branży budowlanej i ofierze gryba!

Pewnego dnia przybył więc wraz ze swoją panną i jej walizką do swojej połowy sw. jego mieszkania. Odtąd zamieszkali we czwórce. Współżycie obu par nie układało się sielankowo: codzienne awantury o szczotkę, garnkę, łazienkę, o palnik gazowy itede... Prawowita żona technika zamknęła na klucz łazienkę, bo — jak oświadczyła — „nie będzie sprzątać po tej fładrze!” Mąż w odpowiedzi ustawił w pokoju wiaderko, zwane w gwarze więziennej „kibelem”. Tamci tak żywo protestowali że raz i drugi zajrzało tu pogotowie milicyjne i lekarskie. Sprawy znalazły epilog w sądzie, gdzie złożono wnioski o eksmisję „dzikich lokatorów”. Ale ten epilog nie okazał

swęj kolejkę. Kalejdoskop życiowych zdarzeń szybko zaś się obraca niż machina Temidy. Lada dzień przybędzie w naszej kawalerce nowy lokator — odbędą się chrzciny.

Tych wszystkich szczegółów dowiedziałem się w sądzie, gdzie sędzia na koniec rozłożył ręce: „Wszystkiemu winne jest mieszkanie. Ludzie myślą, że gdyby nie było miejsca, w którym urządzili sobie piekło — nie byłoby i samego życiowego piekła”.

Rozprawa odbędzie się niebawem. — Informacje mnie już rzeczowo sędzia. Ale... — i tu rozkłada on ręce — jak zwykle będzie odraczara, potem wlec się będzie przez różne instancje. A w międzyczasie... Pewno pan Kowalski zmastruje z koleje dziecko. Do tego dziecka też przyjedzie babka. Będziemy mieli w kawalerce już osiem osób. Jeśli sprawa dalej się przeciągnie — dzieci dorosną. Sprawdzą sobie chłopców czy dziewczyny, będą następne dzieci. Czy pan pamięta je-

Nie wynajmę kawalerki, nie dlatego, że wierzę w duchy, ani też dlatego, że bałem się, iż jak technik zacznę na gwałt likwidować swą samotność w tych czterech ścianach — i cały film zacznie się na nowo. Po prostu życiowo-mieszkańcowskie szczęście w kawalerce-wynawajcy ocenione zostało przez technika na... tysiąc złotych miesięcznie!

szcze ze szkoły zasady sętepu artmetycznego?

Apokaliptyczna wizja sędziego nie ziszcila się. Technik z żoną i dzieckiem wynieśli się na prowincję. Tam czekają na wynik rozprawy. Na placu, czyli w tej kawalerce — winowajcy został Kowalski z dziewczyną. I oto wtedy, kiedy powinien był triumfować i cieszyć się wygraną — pewnego dnia wraz z dziewczyną wynieśli się nie wiadomo dlaczego i dokąd. Kawalerka, owe cztery ściany przekształniły się w nierozciągliwość, które w wyobraźni lokatorów miały zgola nadprzyrodzoną moc decydowania o ludzkich losach — została pusta. Technik rapisał do dozorczyńni z prośbą, żeby wynajęła komuś do mieszkania. I oto pan dozorczyńni demonstruje mi, że woda leci z kranu, okno zamyka się i otwiera i wszystko wróży pełną życiową szczęśliwość, a tej przecież nie znaczą mi wspomnienia o uprzednich lokatorach, którzy mieli ochotę pięściami walić w te ściany.

3.

— To drogo nie wyniesie. Pięćset złotych. Będzie pan przechodzić przez mój pokój, ale to już moja niewygoda. Panu nic nie szkodzi. Możesz pan wracać nawet w nocy. Aby cicho.

Stałem w środkowym pokoju mieszkania o amfiladnym rozkładzie. Z sieni wchodziło się do pokoju środkowego, zamieszkałego przez gospodynię. Z niego to prowadziły drzwi do pokoju, który miał być mój i tego trzeciego, zamkniętego na grube żelazne zasuwki. Gospodyni pobiegła za moim wzrokiem w tym kierunku.

— Właśnie — powiedziała — to jest ta jedna sprawa.

— Właśnie — powiedziała — to jest ta jedna sprawa.

— Właśnie — powiedziała — to jest ta jedna sprawa.

Poprzedni lokator poszedł się szukać innego mieszkania, bo za bardzo interesował się tamtym pokojem. Więc panu żeby nie było nic do tego. Ja tylko powiem panu co tam jest, żeby pan nie zleżał sobie nie myślał. Pan mieszka mój mąż. On jest cichy i spokojny, nigdy z pokoju nie wychodzi. Proszę z nim nie rozmawiać. I nie próbować czasem go wypuścić albo mu co dać. On jest alkoholik.

Spojrzałem na to zdumiony, ni to przerażony.

— No, alkoholik. Dobry

Trudno mi było jednak zdecydować się na wynajęcie pokoju w mieszkaniu, którego część miała więzienne przeznaczenie. Nie byłam też zupełnie pewien, czy okaże się twardszy niż poprzedni sublokator. Już mnie zaczęło korcić, żeby pobiec po ćwiartkę. Może nie z litości dla uwięzionego. Raczej na złość tej babie — czy ja zresztą wiem?

„Dam mieszkanie starsze-

mu, solidnemu, na posiadanie...

„Wynajmę pomieszczenie osobie samotnej w zamian

Dalej wertuję cudze ogłoszenia i na nic nie mogę się zdecydować.

A może w ogóle boję się takiej decyzji i w gruncie rzeczy wolę dalej mieszkać to tu, to tam, po znajomych, albo w hotelach innych miast? Może sam uwierzyłem, że ludzkie losy zaczynają się plątać natychmiast, kiedy zamknięte zostaną w czterech ścianach? Ze te głupie cztery ściany ważą w nich w sposób integralny, samo przez się? I nie wiem czy tak jest, czy tak nie jest.

człowiek ale alkoholik. Każdy może w to popaść jak miał swoje przejścia. A on nie może pić. Jak pije to już kilka dni bez przystanku i wtedy bije ludzi, rozwalia knajpę, jego bija, ma sprawy w sądzie, trzeba płacić, idzie do zakładu i wraca pół człowieka. Ja miałam tego dosyć. Zamknęłam go w pokoju i siedzi. On już i tak nie do pracy. A przez ten pokój może żyć. Nie wychodzi w ogóle. Okno też zabiłam gwoździem, żeby mu kumple czasem z góry wody na sznurku nie spuszczały — bo i tak było. I wie pan wtedy tu nastal ten lokator. Wychodziłam do roboty, wracałam, podawałam mężowi jeść, ale patrzą — pił. Na drugi dzień znowu — pił. Na trzeci tak samo. Drzwi zamknięte, okno zabite. Skąd on ma wodę — myślę. Ale on nic nie mówi. I tak to trwało. On jak nie pije to cichy i staby, ale jak się napije to łamie wszystko, krzyczy i sobie chce coś zrobić. I co dzień taka była mordęga.

Raz wróciłam wcześniej i co dzień taka była mordęga. stoi przed drzwiami z butelką wody. W butelce jest gumowa rurka przewleczona przez dziurkę od klucza. I mój ciągnie przez te rurkę i miaska aż przez drzwi słycać. Powiedziałam do lokatora „w dwie godziny żeby pana tu nie było”.

„Pokoje luksusowy dla samotnego naukowca lub le-

karza do wynajęcia. Ulica...”

JERZY BRODACZ

ZYCIE na metry KWADRATOWE

ności. Akurat jej ojciec przestał pracować, przechodząc na mizerną emeryturę i akurat ona sama podjęła pracę zarobkową. Z dnia na dzień stawała się żywicielem rodziny. Rodzice nie pozwolili jej się domyślać, że jeśli odejdzie ze swoim facetem — nie przyjmą od niej ani grosza. Powiedzieli to wręcz. Ogłosili ten wyrok na siebie, który był zarazem wyrokiem na nią... Nie mogła ich przecież tak zostawić. Inżynier postanowił przetrwać tę sytuację, jakby z innej epoki głupia i melodramatyczna. Zaczął namawiać dziewczynę na ślub kościelny. Nie mogła zrozumieć, jak on może ją do tego namawiać. Postanowiła jeszcze czekać.

W tym stadium sprawa tego ślubu kościelnego była już z obu stron — i dziewczyny i rodziców bardziej kwestią ambiciozalną sprawą uporu, niż przekonania, etyki czy obyczajowości.

Dla inżyniera dom dziewczyny był zamknięty. Spotykał się rzadko i coraz rzadziej. Wówczas przypomniał sobie nawzajem że na siebie czekają, ale nie bardzo było wiadomo czy rzeczywiście i konkretnie — na co?

W końcu inżynier wprowadził się do swojego nowego mieszkania. Bał się, że może je stracić. Ale był to też jakiś akt rezygnacji z dziewczyny i z tego małżeństwa.

Dobrze mu się tu mieszka. Trochę dręczy go choroba pustych czterech ścian, choroba na tle mieszkania, które się „nie uzasadnia”. O sublokatorze nigdy nie myślał. Zareagował dopiero na moje ogłoszenie. Akurat bowiem doszły go słuchy, że jego dziewczyna wychodzi za mąż i że podobno weźmie ślub kościelny.

katorzy hotelu dostali mieszkania w nowych blokach. Również pewien technik dostał kawalerkę — tę właśnie, którą zwiedzałem.

Przyzwyczajony był do wspólnej sali — a tu miał klucz od swego królestwa. Wracał do mieszkania, oglądał puste cztery ściany i szybko wychodził, jakby czego zapomniał...

Po pewnym czasie odkrył, czego mu było brak: wspólnej duszy na te dwadzieścia metrów kwadratowych. Ozeñił się. Pierwszy miesiąc jak to zwykle bywa — upłynął wśród westchnień szczęścia. W drugim służba wyгнаła technika na kilka tygodni na jakąś budowę w terenie. Kiedy wrócił — zastał w swojej kawalerce obok swojej żony — na swoim tapczanie pewnego młodego człowieka nazwiskiem powiedzmy Kowalski. Technik wpadł oczywiście w rozpacz, ale nawet dotknięci największą tragedią ludzie muszą gdzieś mieszkać. Nie po to zresztą otrzymało się nakaz na mieszkanie po kilkuletniej walce ze współlokatorami hotelu i grzybem, by oddać teraz metraż mieszkalny obcemu człowiekowi i żonie, która przestała być własną!

Zamieszkali więc w trójkę. Zapobiegliwa ex-pani technikowa podzieliła kawalerkę na dwie równe części kotarą w kwiatki. Do tej drugiej części technik wsta-

się ostatecznym etapem: awantury były nie tylko między dwoma obozami, ale i między parami; technik przy słuchiwał się kłótniom tamtych za przepierzenia. Za perkalową zasłoną sprawy układały się coraz gorzej. Pan Kowalski tłukł przyjaciółkę...

Technik pierwszy podjął rozmowę ze swoją żoną — a de facto z ex-żoną. Oświadczył, że gnębi go fakt, że obcy facet bije jego żonę i matkę jego dziecka — bo i ta sprawa wynikała tymczasem, napawając techniką ojcowską dumą. Od słowa do słowa — rozłączeni przez życie małżonkowie zaczęli się nawzajem pocieszać i zwykłą pocieszenia koleją doszli do zgodnego wniosku, że wszystko co złe — było pomyłką. Pewnego pięknego wieczoru przeniosł się pan technik ze swego połowego łóżka na tapczan i legł u boku prawowitej małżonki.

Cóż pozostawało Kowalskiemu. Siłą konieczności zajął wtedy opuszczoną połowę połowego łóżka u boku osamotnionej przez technika panny.

Teraz małżonkowie domagał się od sądu wyrzucenia z ich kawalerki „pary przybłądów” — a wspomniana para prosiła o wysiedlenie tamtych, którzy „zakładają przyjęte normy współżycia sąsiedzkiego”.

Sprawy wszakże czekały

NIE MARNUJCIE SŁOŃCA

W Poddębicach Ner nie wylał, płynął w granicach wytyczonych, ale czynił solidne wrażenie, to nie jest drobna rzeczka, to jest szeroka rzeka, zobaczcie na zdjęciu, szeroka woda, jeszcze dzień deszczu, a rozleje się na łąki, podejście pod miasto, na szczęście zapowiedziano zmianę pogody, słońce prześwieca przez rzadkie chmury. Ale za miastem, w pobliżu Turu, wody rozlały się na łąki, trzy lata temu był podobny potop, żyta mokną w wodzie, ziemniaki mokną, widoki nieprzyjemne.

28 lipca zarządono alarm powodziowy dla województwa łódzkiego, radio podaje meldunki, gazety wysyła ją reporterów, woda przybiera z godziną na godzinę.

Warta, Bzura, Ner wylewają, małe rzeczki, jak Widawka i Grabia rosna, zamieniają się w rzeki, zalewają pola, niewielki strumyk Zian, szumnie nazwany rzeką, tablica przy moście powiada: „Rzeka Zian”, ledwie zaznaczony na mapie, przeskoczysz go w czasie suszy, teraz zalewa całe pola, po obu stronach szosy utworzył dwa jeziora, żyto już zmarniało. Radio ogłasza, że woda na ulicach Tomaszowa Mazowieckiego, woda na ulicach Kutna, wody Bzury wdarły się na teren kopalni rud w Łęczycy, w Janowicach utworzyło się wielkie jezioro, w kilku miejscach komunikacja jest przerwana, w parku łęczyckim można jeździć

na tratwach, w Sulejowie ewakuowano niektóre domy, robotnicy pracują przy ubezpieczaniu wałów zaporowych na Warcie, nie żałują nocy.

Relacje groźne, widoki groźne, straty znaczne, przecież powódź w łódzkiem nie ma charakteru powszechnej katastrofy, nasze rzeki są stosunkowo małe, jednak patrząc na szerokie lustra wody zalewające pola i łąki, można sobie wyobrazić, co dzieje się nad Wisłą jakże olbrzymie spustoszenia jaka klęska, rozumiemy apeli o pomoc. Milicja w pogotowiu, wojsko w pogotowiu, ludzie w pogotowiu.

Wieś Tur położona jest wyżej, woda nie dotarła do progów chałup, ale łąki są zatopione. Wyżej, na sklonie zbocza chłopci koszą żyto, koszą jak siano, „na pokosy”, brak odbieraczek i dlatego w ten sposób „odchodzi” kośba, przydałoby się pomoc. Rysunek żniw i rozlewiska wód jest charakterystyczny, nie ma tu motywów drugoplanowych, to staje się samo w sobie tematem, widzimy to, łąki czekają na słońce, na naturalne osuszenie, nie tu na razie nie można poradzić, ale żyto czeka na żniwiarzy. Radio wzywa: niech niedziela stanie się urzędem powszednim, nie marnujcie słońca, wody jeszcze nie ustąpiły. Niedziela jest dniem powszednim, w sprawozdaniach reporterów triumfuje ścisła, nieupiększona obserwacja rzeczywistości, wier-

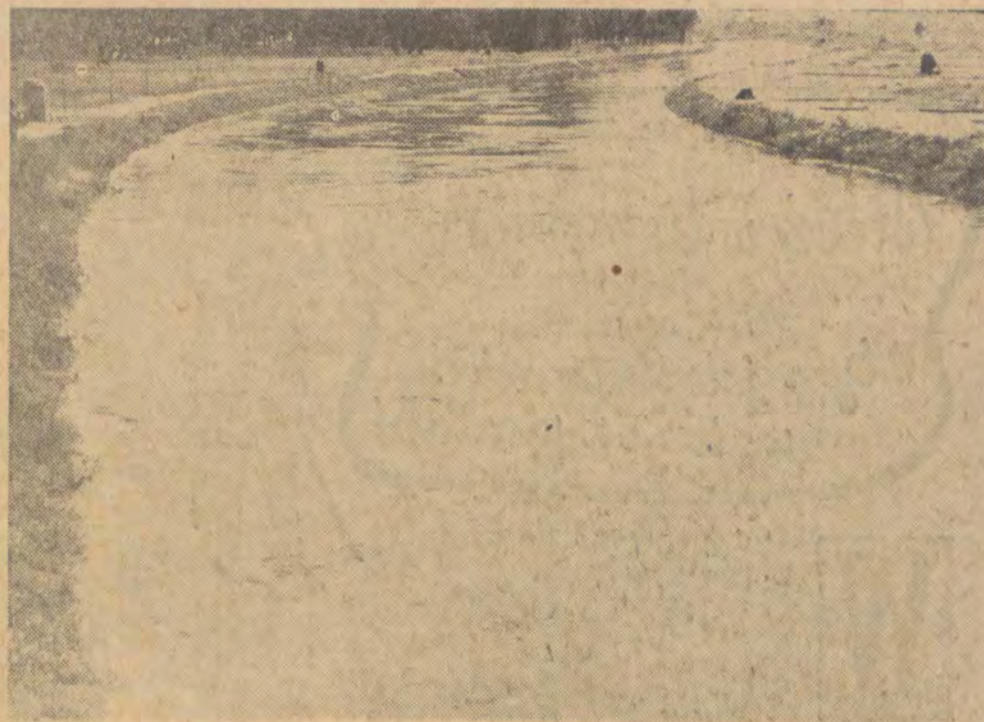
ność temu, co się dzieje, klęska powodzi zmobilizowała robotników, ekipy robotników pomagały w zabezpieczeniu rzek, milicja pomagała, wojsko zawsze pierwsze pomaga.

Tradycje pomocy sąsiedkiej na wsi są bardzo żywe, chłopcy znają różne formy tej pomocy, nie odmówią jej w czasie nieszczęścia, nie trzeba sięgać po charakterystyczne przykłady, ostatnia powódź dała przykładów najwięcej. Powiedziałem, rysunek żniw i rozlewiska wód jest charakterystyczny, ta mobilizacja ludzi w czasie klęski trwa dalej, winna trwać dalej, żniwa czekają, chłopcy z kółka rolniczego w Szadku pomagają innym, gdzie brak rąk do pracy, dziesięć takich gospodarstw obsługuje, bezpłatnie, społecznie, dają przykład, nie tylko Szadek zapisuje się w pamięci.

Tradycja pomocy społecznej nabiera dzisiaj nowych kolorów, do akcji włączają się organizacje, kółka, zrzeszenia, setki robotników z zakładów pracy wyruszają na pola, coraz skuteczniejsza jest pomoc, rośnie ofiarność całego społeczeństwa, tu jest klucz zagadnienia, na tym polu zbieramy swego rodzaju żniwa tych trudnych dni, zboża nie wolno marnować, słońca nie wolno marnować, ofiarności ludzkiej także.

Zdjęcia:

WACŁAW BILINSKI



Ner, koło Poddębic



JACEK LEBEN

KONGIJSKIE DRAMATY

Chyba w ciągu całego ostatniego wieku prasa światowa nie poświęcała tyle miejsca Kongi, co w ciągu ostatniego miesiąca, od chwili, kiedy w kraju tym „wybuchła” niepodległość.

W ciągu zaledwie kilku dni przemieszły się w kongijskim kotle liczne zapalne czynniki: bunt czysto militarny, niechęć

wobec Belgów, narosła w ciągu 80 lat kolonialnej niewoli, marzenia o poprawie bytu, zadania społeczne, panika wśród Europejczyków, odsrodkowe tendencje w wielu prowincjach, prywatna przywódca, starcie się interesów poszczególnych mocarstw imperialistycznych, machinacje w kierunku oderwania od Konga, najbogatszej prowincji — Katangi.

Nie przypadkowo właśnie Konga przeżyło najbardziej burzliwy okres narodzin niepodległości.

Belgowie okazali się bowiem bardzo sprytnymi kolonizatorami. Każde państwo kolonialne ma swoje metody postępowania. Brytyjczycy na przykład stworzyli w swoich koloniach cieniową warstwę narodowej burżuazji, którą związali tysiącami niemi z brytyjskim kapitałem. Dzięki temu, po zalamaniu się systemu kolonialnego, zastąpiła go

zmuszono ich do opuszczenia kolonii, utracili z miejsca swoje pozycje ekonomiczne. Tak było w Indochinach, Syrii, Libanie, a ostatnio w Gwinei. Ale inteligencja przywiązała się do języka francuskiego, francuskiej tradycji i kultury. Jest to oczywiście jakiś kapitał, który w przyszłości może dla Francji procentować.

Belgowie natomiast dążyli do zapewnienia murzynskiej ludności w Kongu minimum środków utrzymania. Jednocześnie jednak odciepli ją zdecydowanie od wyższych form oświaty, od wszelkich przejawów życia politycznego i społecznego. Traktowali Murzynów jak wleczenie małe dzieci — jeśli tylko będą mieli chleb i nikt im drzwi do reszty świata nie otworzy — spokojnie murowany.

W całym Kongu żyje 200 ludzi ze średnim wykształceniem, a kilkunastu z wyższym. Nie ma ani jednego murzynskiego lekarza, prawnika, ekonomisty. Najwyższym stanowiskiem zastrzeżonym dla arystokracji murzynskiej była posada urzędnicza poczetowa. Obecny premier Konga — Lumumba, był właśnie przez 12 lat urzędnikiem poczetowym. Najwyższym stopniem w wojsku, do jakiego mógł się dosłużyć murzynski żołnierz, był stopień sierżanta. Obecny dowódca naczelny armii kongijskiej jest były plutonowy, który w ciągu jednego dnia awansowany został do stopnia generała.

Polityka pełnej segregacji rasowej stosowana była aż do

1939 roku. Murzyni — na przykład — nie mieli prawa poruszania się wraz z zapadnięciem zmierzchu po europejskich dzielnicach Leopoldville.

Belgowie pozostawili przy tym zupełnie nienaruszoną plemienną i szepelową strukturę. Starali się jedynie pozyskać dla swojej polityki wodzów szepelowych.

Kiedy proklamowano niepodległość, Leopoldville opanował szal radości. Tańczono i ciotowano się na ulicach. Ale po dwu dniach marzenia ucasznej ludności znalazły wyraz w materialnych żądaniach. Robotnicy żądali podwyżek płac, urzędnicy — awansu. Żołnierze usunęli białych oficerów.

Belgowie nie docenili siły murzynskiego nacjonalizmu. Sądziłi oni, że Konga będzie formalnie niepodległe, ale że ich pozycje ekonomiczne i społeczne pozostaną niezagrożone. Silny belgijski kapitał kierował będzie słabym kongijskim rządem. Wśród polityków kongijskich jest również wielu, którzy tak myśleli, którzy liczyli na współpracę z Belgią. I oni nie docenili siły nacjonalizmu tkwiącego w masach.

Rząd belgijski ruszył do kontrataków. Wojska belgijskie opanowały wszystkie wszy strategiczne punkty. Belgowie nie przypuszczali widocznie, że kraje Zachodu aprobują ten fakt dokonany, ale przełiczyl się. W Radzie Bezpieczeństwa Stany Zjednoczone głosowały za wycofaniem wojsk belgijskich z

Konga, a W. Brytania i Francja wstrzymały się od głosu. Rząd Stanów Zjednoczonych nie mógł bowiem dopuścić do sytuacji, kiedy z jednej strony barykady byłby cały świat zachodni, a z drugiej — cała zjednoczona, jednomyślna w tej sprawie Afryka, poparta przez wszystkie kraje socjalistyczne. Taki podział mógłby być dla Zachodu zgubny.

Po drugie — rząd Stanów Zjednoczonych nie uwierzył w zdolność Belgów do utrzymania Konga środkami militarnymi. Stany woła delikatniejsze metody.

Premier Konga Lumumba zagroził bank. Zagroził Zachodni zaproszeniem wojsk radzieckich do Konga, o ile mocarstwa Zachodu poprą Belgów, a kiedy „zmieczyli” stanowisko Zachodu wybrał się do Nowego Jorku i podpisał umowę z grupą finansową amerykańskiego finansisty, Detwingera, który działając niewątpliwie z inspiracji Departamentu Stanu zobowiązał się do ułokowania w Kongu 2 miliardów dolarów w zamian za możliwość eksploatawania tamtejszych bogactw naturalnych.

Prawicowa prasa francuska oskarżyła z miejsca Amerykanów o machiavelizm i przypomniała im podobną sprawkę w Indochinach. Prawicowa prasa francuska popiera raczej belgijskie aspiracje do Katangi. Ta najbogatsza prowincja Konga kryjąca w swoim wnętrzu niesłychane

bogactwa opanowana została przez separatystyczny rząd Czombe, który głosi hasło: „Katanga nie będzie dojna krową dla kongijskiego „węża”. Rząd ten proklamował unię ekonomiczną z Belgią. Separacja Katangi byłaby jednak klęską dla Konga i dlatego wszystkie państwa afrykańskie występują solidarnie w sprawie jedności Republiki Kongijskiej. Państwa socjalistyczne żądają wycofania wojsk belgijskich z Katangi i wkroczenia tam afrykańskich wojsk występujących pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych.

I znów to samo. Mocarstwa Zachodu nie mogą uznać rządu Katangi, mimo że byłoby to dla nich najbardziej idealne rozwiązanie. Nie mogą ze względu na nasze poparcie dla niepodległej Afryki i niepodległego Konga.

Jesteśmy więc świadkami potężnego procesu dekolonizacji, który nie tylko niesie niepodległość ujarzmionym krajom, ale który również obala tradycyjne granice sfer wpływów i zainteresowań w latach, kiedy świat był pod uściskiem kilku państw.

odpisy str. 5

Szota Rustaweli - Prezydent Igor Sikirynski
Witez w tygryskiej skórze
 opowieść osiemnasta
 O tym jak Awtandil
 walczył z piratami



W

iele, wiele dni minęło, cała wiosna, lato całe
 Wódz Awtandil brzegiem morza jechał wraz ze swym oddziałem.
 Wtem spostrzegli jeźdźcy żagle i na samym skraju lądu
 Mnóstwo worków, skrzyń, bukłaków, obok nich zaś sznur wielbłądów.

Przy żaglowcu na przystani stało znacznych kupców paru
 Zapatrzonych smętnym wzrokiem w drogocenny stos towarów.
 Wódz Awtandil ich pozdrowił, wstrzymał konia i zapytał:
 „Kim jesteście? Takich mężów rodzi ziemia znakomita”.

Odparł mu czcigodny Usam, dowodzący karawaną:
 „Kupców widzisz, co z Bagdadu przyjechali dzisiaj rano.
 Mahometa czcimy, przeto laska nam przyświeca boża,
 Zaś towary chcemy zawieźć do pałacu króla morza.

Tu na brzegu, półtygodnia dziś znaleźliśmy człowieka.
 Statkiem jechał aż z Egiptu — droga trudna i daleka!
 Na ten statek pełen bogactw zgraja się piratów wdaria,
 Ograbila go do szczytu, poderżnąwszy kupcom gardła.

Dziwnym trafem z życiem uszedł tylko ten nieszczęsny sternik.
 Cóż więc robić? Wracać? Przez to ponieść mnóstwo strat niezmiernych?
 Czy wypuścić się na morze i narazić na szwank życie?
 Gdy brak wiary w siły własne, wtedy trudno z wrogiem bić się”.

„Lecz nie rońcie — rzekł Awtandil — i spokojnie płynięcie morzem.
 Nikt odgadnąć nie potrafi jakie są wyroki boże.
 Tylko jedno wam przyrzekam, że gdy miecz swój ujmę w dłonie
 Wróg tak podły jak piraci straszną klęskę musi ponieść”.

„Dzielnie serce ma ten witez — Usam rzekł do swoich ludzi —
 Jego spokój sił mi dodał i nadzieję we mnie wzbudził.
 Zaladujmy więc towary i ruszajmy w świat z witeziem!
 On z pewnością nas bez szwanku do królestwa mórz dowiezie”.

Odplynęli. Wiatr pomyślny mocnym technieniem wyduł żagle,
 Słońce fale przeświecało złotym blaskiem, kiedy nagle
 Statek jakiś się ukazał z nienawistną flagą czarną
 I taranem na pokładzie. Kupców błąd strach ogarnął.

A tymczasem wróg się zbliżał z krzykiem, dmąc na postrach w rogi,
 Przechwalał się, że wkrótce wytnie wszystkich co do nogi.
 Przerazili się żeglarze. Lica zbłądli im jak kreda.
 Tylko witez stał spokojnie — on przetrzaszył się im nie dał.

„Tchórze z was! — na kupców krzyknął — obce wam wojenne sprawy.
 By was w boju nie poraził pociskami wróg plugawy,
 Zabierajcie się stąd wszyscy i ukryjcie pod pokładem.
 Ja grabieżców sam przywitam i na przemoc znajdę radę”.

A gdy z wyciem przeraźliwym przybliżyli się piraci,
 Witez drąg żelazny ujął, lecz spokoju nie utracił.
 Przywdział pancerz, miecz przypasał i włożywszy helm bojowy
 Ciężkim krokiem wszedł na rufę, na śmiertelny bój gotowy.

Gdy piraci podplynęli, pierwszy cios wymierzył taran.
 Rozbestwiona zgraja lotrów na żaglowiec wejść się stara.
 Witez uniósł drąg żelazny, zadał cios nieublagany —
 Taran zwalił się z pokładu i pograżył w morskie piany.

Przerażeni tym piraci zamierzali już uciekać.
 Skoczył do nich wódz Awtandil — wrażej krwi trysnęła rzeka.
 Witez kosił wrogów mieczem, raził, strącał ich z pokładu
 Tak, że wkrótce po złoczyncach nie zostało nawet śladu.

Otarł czoło dzielny witez, gdy się bój szczęśliwie skończył,
 Zeiknął statki dwa burtami i łańcuchem je połączył.
 Po czym krzyknął: „Hej, Usamie! W proch rozbita siła wraża.
 Możesz z ludźmi wyjść na pokład, bo już nie wam nie zagraża”.

Gdy ujrzeli kupcy skarby, które statek wioził zdobyty,
 Ze zdumienia oniemieli, długo trwały ich zachwyty.
 Wreszcie lupy niezliczone na żaglowcu poskładali,
 A piracki statek kazał witez sługom swym podpalić.

Wtedy rzekł przemądry Usam do witezia Awtandila:
 „Twoja rzęczność i odwaga nas od śmierci ocalila.
 A że wdzięczność nasza nie zna ani granic, ani miary,
 Oddajemy ci w podzięce cały statek i towary”.

„Bracia, gdybym szukał bogactw — odparł na to witez dumnie —
 Najcenniejsze skarby świata moglibyście znaleźć u mnie.
 Nigdy jeszcze prawy witez męstwem swoim nie frymarczył,
 Dla mych celów i mych pragnień miecz i rumak mi wystarczy.

Dzień burzliwy dobiegł kresu. Zaszło słońce zlotelice,
 Rozwinęto wszystkie żagle, podniesiono z dna kotwicę.
 I jak orzeł co szybuje gnany wiehrem, po przestworzach,
 Pomknął statek prując fale do królestwa władcy morza.



SEDNO
 RZECZY

MARIAN PIECHAL

CZŁOWIEK I PRZYRODA

Przyroda — jak już mó-
 willśmy — to zewnętrzny
 wyraz natury, niejako jej
 ciało, stan egzystencyjny.
 Pod tzw. „lonem natury” ro-
 zumie się zazwyczaj taki ze-
 spół warunków, w których
 człowiek najlepiej odpoczy-
 wa, nabiera świeżej energii
 i ochoty do życia, słowem
 regeneruje, czyli odnawia
 swoje siły vitalne. Na ze-
 spół tych warunków składa-
 ją się przede wszystkim
 sprzyjające warunki atmo-
 sferyczne, to znaczy słoń-
 cna pogoda, piękny krajo-
 braz i tzw. powietrze, co u-
 zależnione jest od obecno-
 ści i współpracy pewnych na-
 turalnych elementów, jak
 ukształtowanie powierzchni
 (góry lub doliny), charakter
 wód (morze, jeziora, rzeki)
 i tzw. szata roślinna.
 Żywiół ciągnie do żywiołu
 i z żywiołu żyje. Ale są
 żywioły opanowane przez
 człowieka i nieopanowane.
 Opanowanym żywiołem jest
 przede wszystkim sam czło-
 wiek, chyba że się upije do
 nieprzytomności albo zwariu-
 je. W naszych rozważaniach
 zakładamy jednak stan nor-
 malny człowieka. Otóż czło-

wiek w obecnym stadium
 historycznym opanował sie-
 bie jak i pewną część żywio-
 łów czyli tzw. ślepych sił
 natury, na przykład bieg i
 wylewy niektórych rzek, wy-
 ładowania elektryczne burz,
 przyplwy i odpływy mórz i
 tzw. szatę roślinną ziemi.
 Spieszę wyjaśnić, że opano-
 wać nie znaczy tutaj ujarz-
 mić i unicestwić, lecz pod-
 patrzeć naturalne cechy da-
 nego żywiołu, aby wykorzy-
 stać pewne jego objawy i ni-
 mi kierować ku własnemu
 pożytkowi. Ta dominacja
 człowieka nad sobą samym
 i nad naturalnymi żywioła-
 mi czyli nad przyrodą jest
 coraz pełniejsza, proces o-
 panowywania przyrody od-
 bywa się powoli, ale coraz
 pewniej. Panowanie czło-
 wieka nad przyrodą jest spr-
 awą historycznie przesądzo-
 ną. Stąd wielka odpowie-
 dzialność człowieka wobec
 przyrody, która przecież jest
 źródłem jego egzystencji.

Opanowywać przyrodę, to
 nie znaczy wcale uśmiercać
 żywioły, bo to znaczyłoby
 uśmiercać siebie samego, u-
 śmiercać człowieka, jako je-
 den z tych żywiołów — ży-
 wiołów oczywiście opano-
 wanych. A tak, niestety,
 zdaje się rozumieć panowa-
 nie nad przyrodą większość
 ludzi. Niszczenie żywej przy-
 rody, to jedna z najwięk-

szych klęsk ludzkości w o-
 statnich czasach. Coraz czę-
 śliwiej w prasie całego cywil-
 izowanego świata odywa-
 ją się głosy, bijące na alarm,
 ostrzegające przed groź-
 nym ludzkości niebezpieczeń-
 stwem. Niebezpieczeństwem
 odcienia się od żywych i je-
 dynych źródeł naszej egzy-
 stencji, naszych sił wital-
 nych. To absurd, że człowiek
 w przyszłości będzie się od-
 żywiał sztucznie produkowa-
 nymi pigułkami pokar-
 mowymi i oddychał sztucz-
 nie produkowanym tlenem.
 Byłby wtedy tworem sztuc-
 cznym, a nie naturalnym,
 jak dotychczas jest i chce
 być. Owszem, w celach pro-
 filaktycznych może człowiek
 okresowo poddawać się z
 konieczności sztuczemu od-
 żywianiu i oddychaniu, ale
 tylko pod warunkiem jak
 najrychlejszego powrotu do
 właściwych sobie warunków
 naturalnych. Im większe
 oddalenie od natury, tym
 większe niebezpieczeństwo
 zwyrodnienia i zagłady.
 Człowiek jako twór przy-
 rody nie może wyjść poza
 ściśle określone naturalny-
 mi prawami jej granice.
 Człowiek bowiem może
 zmieniać i modyfikować
 przyrodę, ale tylko w gra-
 nicach jej naturalnego por-
 ządku i praw, których
 zmieniać nie może — ba!
 — którym podlegać musi,
 jeśli chce żyć. Młkiewicz
 w „Dziadach” mówił: „Tam
 dojdę, gdzie graniczą
 Stwórca i natura”. Wie-
 dział, że dalej poza granice
 natury pójść nie można, bo
 dalej — to zagłada i nicosc.

Wytworzył się ostatnio
 typ nowoczesnego koftuna,
 operujący efektywnymi lic-
 manami pozornej postępo-
 wości. Dla niego wszystko,
 co modne, to nowe i po-
 stępowe, ale nie wszystko,
 co latotnie nowe i postępo-

we, to modne. Rozmaite
 typy takich koftunów mo-
 gliśmy podziwiać ostatnio
 w doskonałym filmie fran-
 cuskim p.t. „Mój nowocze-
 sny koftun”. Taki typ nowocze-
 snego koftuna wielbił bez-
 względnie i bezapelacyjnie
 wszelki postęp i technika,
 ale jakże opacznie. Do lasu
 udaje się z grającą „Szarot-
 ką” w ręku, na szczyt Świ-
 nicy tłoczy się gromadnie
 z chóralnym śpiewem
 najmodniejszego przeboju,
 a statkiem na pełne morze
 wypuszcza się tylko po to,
 aby zatańczyć w tłoku po-
 dobnych sobie na odkry-
 tym pokładzie. Na letnisko
 i tzw. „lono natury” wybiera
 się zawsze „musowo” z
 nieodłączną talią kart i bu-
 telką wódki. Zażywa modne
 antybiotyki i polyka sztuc-
 cznie produkowane tabletki
 przeróżnych witamin.
 Nie wie, że prawdziwie
 nowoczesna i postępową
 medycyna coraz częściej
 zwraca się do naturalnych
 środków leczniczych, że
 ziołolecznictwo stanowi naj-
 nowoczesniejszą jej gałąź,
 że najnowocześniejsze sana-
 toria lecznicze, to tylko
 wybór najsukuczniejszych
 warunków naturalnych dla
 samoczynnego pobudzenia
 regeneracyjnych sił w orga-
 niżmie człowieka chorego,
 to zbliżenie go na powrót
 do pierwotnych źródeł ży-
 cia w jego nieszakowanej for-
 mie — do natury.

Przerazenie człowieka o-
 garnia, kiedy sobie pomy-
 śli, że żyłby w krajobrazie
 skąpej i rachitycznej ziele-
 ni, rudych i brunatnych hald
 wśród jałowych gruzów i
 popielisk, martwych i spli-
 gawionych cuchnącymi od-
 pływami z fabryk rzek, a
 właściwie leniwo toczących
 się ścieków i zastojach lep-
 kich mazi i bagien zamiast
 jezior i stawów.

Dziś już większość wód
 w rzekach i jeziorach na-
 czych okręgów przemysłow-
 ych jest zatruta, tak samo
 zresztą, jak w całej
 Europie i większych ośrodk-
 ach fabrycznych na całym
 świecie, skąd coraz częściej
 i głośniejsz rozlegają się alar-
 my, nawołujące do zacho-
 wania racjonalnej równo-
 wagi między uprzemysłow-
 wieniem a przyrodą, źród-
 łem wszelkiego przemysłu,
 czyli między szlachnością a
 pierwotnością. Nowoczesny
 koftun postępowy, zwolnie-
 nik uprzemysłowienia za
 wszelką cenę, nie widzący
 poprzez przydymione mo-
 dne okulary konsekwencji
 tego progressu dalej, niż
 koniec swego nosa, powie,
 że do wszystkiego człowiek
 może się przyzwyczaić, że
 zdolności człowieka do mi-
 mikry i przystosowania są
 nieograniczone, zwłaszcza
 postępowego człowieka
 przyszłości. Owszem, ter-
 miły też się przystosowały
 do życia bez zieleni i słoń-
 ca — nawet do tego stop-
 nia, że wszelkie światło im
 szkodzi — ba! — zabija.
 Ale — czyżbyśmy marzyli
 o losie termitów?

Nowoczesna dalszyczyna
 polega na eposztrzeganiu i
 pochwalę samego procesu
 postępu bez widzenia jego
 przyczyn, a zwłaszcza skut-
 ków. Nowoczesna dalszyczyna
 operuje hasłami techni-
 cznego postępu bez zdawa-

nia sobie sprawy z jego
 humanistycznej celowości i
 treści, która nakłada konie-
 czne ograniczenia jego bez-
 względności w obronie za-
 chowania jedynego rezer-
 wuaru życia — przyrody.

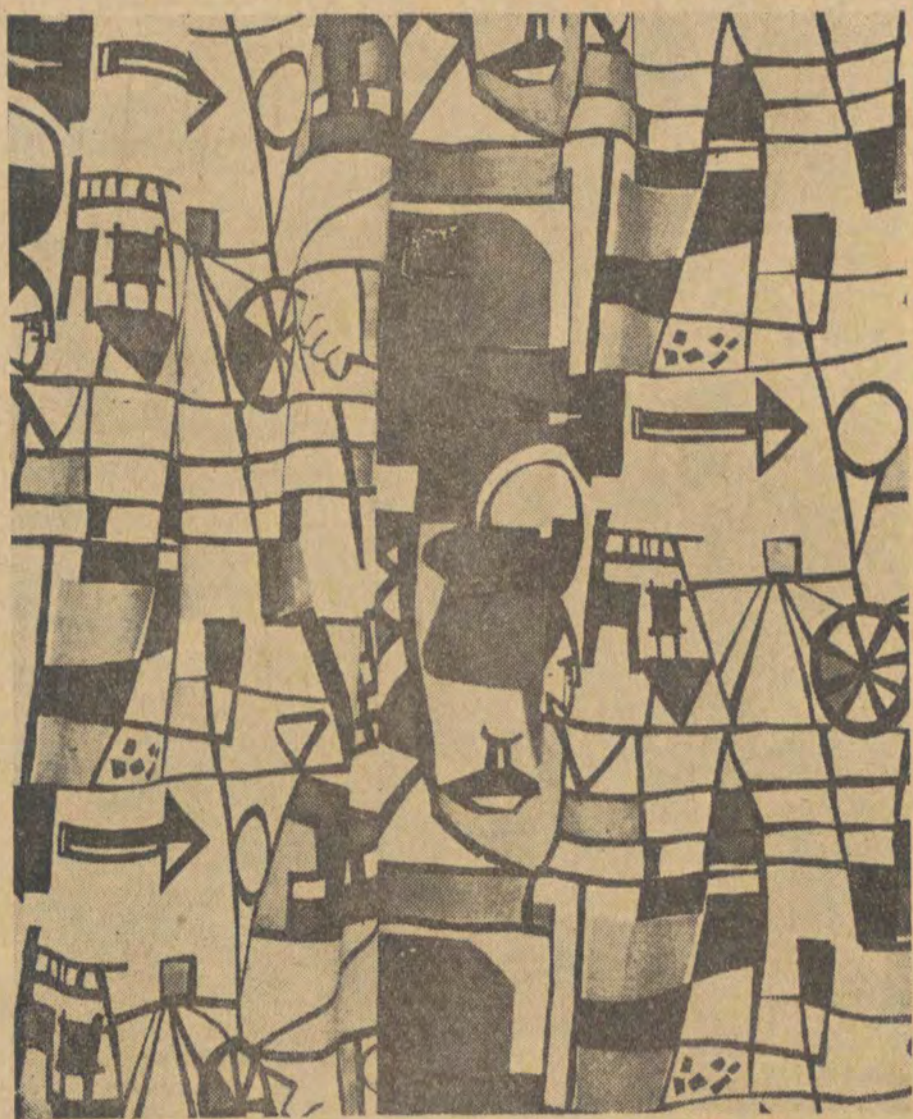
Niszczenie przyrody to
 niszczenie życia. Każde
 źdźbło, każda trawka, każdy
 listek na drzewie, to żywe,
 niezastąpione niczym, la-
 boratorium naszych podsta-
 wowych środków odżywia-
 nia i oddychania — także
 widzenia, słyszenia i od-
 czuwania. Konsekwencją
 absolutnej technicyzacji i
 automatyzacji życia mogłoby
 być tylko ostateczne zwich-
 nienie równowagi i rozsąd-
 ku ludzkiego. Wyraził to
 trafnie Julian Tuwim w
 znanej frasce:

„Rozwoju współczesnego
 miasta
 Jeden z ważniejszych
 symptomatów,
 Kiedy okolica obrasta
 Sanatoriami dla wariatów”.

Dlatego nowoczesny czło-
 wiek prawdziwie postępowy
 uzależnia swój podziw i
 zgodę na progresję uprze-
 mysłowienia od miary roz-
 sądku i równowagi umy-
 słowej człowieka, jako ży-
 wego tworu przyrody. Bo-
 wiem jak powiedział inny
 współczesny poeta:

„Zaiste, wariat na
 swobodzie
 Największą klęską jest
 w przyrodzie”.





Tkanina dekoracyjna — Łódź

Dokończenie ze str. 1

Nie znaczy to jednak, że uczelnia ma zasięg wyłącznie lokalny. Jako jedyna tego typu w Polsce gromadzi kandydatów ze wszystkich regionów kraju; aktualnie przeszło połowę studentów stanowią przyjeźdźni. Również absolwenci pracują we wszystkich ośrodkach przemysłowych. Ale, co najważniejsze — z wyników pracy szkoły korzystają mieszkańcy całej Polski, wszyscy przecie, choć zwykle o tym nie wiedzą, kupują tkaniny — a ostatnio również odzież — projektowane przez studentów lub absolwentów uczelni.

Czy wszyscy? Niech mówią cyfry. W roku 1959 w przemyśle włókienniczym zatwierdzono do produkcji 18846 wzorów i modeli —

90 procent z tego stanowiły prace zaprojektowane w uczelni łódzkiej lub przez jej absolwentów. W całym przemyśle lekkim, w 129 komórkach wzorujących pracuje 155 artystów, 105 z nich ukończyło łódzką PWSSP.

Przy okazji warto zauważyć, że cyfry te świadczą równocześnie o zacofaniu naszego przemysłu. 165 artystów! Przemysł lekki we Francji zatrudnia ich kilkanaście tysięcy. A narzeka się u nas gorzko na bezrobocie wśród artystów.

Oczywiście bezrobocie nie zagraża absolwentom uczelni. Na 126 dyplomowanych w specjalizacjach włókienniczych oraz 59 absolwentów, którzy z dyplomów zrezygnowali, o 30 brak danych. Inni pracują na etatach, bądź w przemyśle bezpośrednio, bądź w różnych instytutach naukowych i technicznych, bądź wreszcie w szkolnictwie wyższym i średnim. I stale przychodzi do szkoły zapotrzebowanie na nowe kadry artystów-projektantów.

Cytowane statystyki, liczone nagrody i wyróżnienia

zbierane przez studentów na konkursach wzornictwa, zakupy dokonywane przez przedstawicieli przemysłu na dorocznych wystawach szkolnych nie są chyba przypadkiem. Dowodzą praktycznie słuszności założeń i metod pracy uczelni.

Związanie się z przemysłem, połączenie sztuki z produkcją fabryczną było nie tyle wynikiem nacisków środowiskowych, ile aktem świadomego wyboru pedagogów. W pełnym zrozumieniu wymogów życia, pozwalając się na teorię i doświadczenia światowej awangardy plastycznej, wybrał oni drogę trudniejszą i pozornie mniej efektowną. Względnie łatwo jest bowiem uczyć „czystej sztuki”, urabiać w jednym kierunku wrażliwość młodego adepta. Znacznie trudniej wykształcić pełnowartościowego artystę, gdy — obok nieuszuflonego kursu malarstwa, rysunku i kompozycji — musi opanować dodatkowo różne dyscypliny specjalizacyjne z ogromnym bagażem wiedzy fachowej.

Wiedza ta niepomierne jednak wzbogaca świadomość plastyczną oraz inwencję twórczą. Zasady konstrukcji dzieła, jego konkretna funkcja, samo tworzywo wreszcie narzucają artyście niezwykłą dyscyplinę myślenia. Znajomość techniki i ekonomiki produkcji zmuszają do poszukiwania rozwiązań przemysłowych do końca i najbardziej celowych.

Dlatego to właśnie szkoła łódzka przeciwstawiała się zawsze uwzniośnieniu sztuki

Wracajmy jednak do „Zachęty”. Jak już wspomniałem, wystawa ma charakter wybitnie i jednostronnie reprezentacyjny: pokazuje niemal bez reszty końcowe wyniki długotrwałego procesu artystyczno-dydaktycznych dociekań. Niewiele więc oglądaliśmy malarstwa czy rzeźby, niewiele szkiców koncepcyjnych czy projektów graficz-

Uczelnia łódzka wystawiła prace studentów zrealizowane w warsztatach szkolnych według wzorów zaprojektowanych przed tym na pracowniach. Widzieliśmy więc tutaj dzieła niepowtarzalne, unikatowe — prześliczne gobeliny i kilimy oraz tkaniny ręcznie malowane — obok projektów przeznaczonych do powielania tkanin dekoracyjnych, dywanów,



Minister Kultury i Sztuki — T. Galiński na wystawie

nych. Gdyby nie plansze wprowadzające oraz wyszukana staranność ekspozycji można by pomyśleć, że znajdujemy się na targach poznańskich w pawilonie wzornictwa.

Zgodnie z zadaniami uczelni wrocławianie pokazali: pracownie mozaiki, a w dalszych salach wyroby ze szkła i ceramiki. Zwracały ogólnie uwagę wysmakowane kształty wazonów, subtelnie grawerowane puchary, proste w formie a bogate w doborze kolorów kryształy,

tkanin odzieżowych, dekoracyjnych i odzieżowych druków na tkaninie. Osobną grupę stanowiły modele sukien — od najprostszyc do toalet teatralnych — oraz kobiecej galanterii odzieżowej i projektów żurnali z pracowni kostiumograficznej. (Mody męskiej jakoś nie pokazano).

W ostatniej wielkiej sali, tzw. „matejkowskiej” przedstawiono wpływ obu uczelni na produkcję przemysłową w Polsce. Inaczej mówiąc, pokazano prace zaprojektowane przez absolwentów zatrudnionych w komórkach wzorujących zakładów przemysłowych, bądź też zakupione przez przemysł w szkołach i przeznaczone do masowej produkcji. Jak wszyscy wiemy, wzory tkanin czy ceramiki w ostatnich latach znacznie się poprawiły. Na wystawie widac jednak wyraźnie, jak bardzo zakłady przemysłowe — zapewne nie z własnej tylko winy — nie nadążają za projektowaniem szkół artystycznych. W porównaniu ze wzorami pokazanymi przez uczelnie produkcja przemysłowa wygląda dziwnie ubogo i nienowocześnie. Być może tak właśnie był cel wystawy, że o te konfrontacje chodziło. Jeżeli tak, życzyć by sobie należało, by skutek odpowiadał zamierzeniom.

JERZY KOWALSKI

ARTYSTA W „PRZEMYŚLE“

czystej a poniżaniu użytkowej w fikcyjnej hierarchii wartości. Przez swoją masowość chociażby, sztuka powielana maszynowo w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy czy metrów, przyczynia się wydatnie do upowszechnienia kultury. Organizując codzienne życie człowieka zmienia jego nawyki estetyczne, przekształca świadomość, rozwija wyobraźnię. Dzięki temu staje się baza nowoczesnego myślenia artystycznego. Nowoczesna, a jednak zrozumiała i powszechna, kształtuje styl naszych czasów.

wykwintne zastawy stołowe z porcelany i kamionki. Na wystawie stałe slyszało się pytanie: gdzie to można kupić? Niestety — nigdzie. Przemysł nadal produkuje rzeczy standartowe. Nie zawsze nawet decyduje tu wzgląd na domniemaną chodliwość towaru. Dla przykładu kryształy, które kupujemy w sklepach, przesadnie różniete, o staroświeckich wzorach, ukrywają często wady surowca. W masowej produkcji jest to podobno konieczne, w szkole oczywiście nikt na to nie pozwoli.



Ceramika — Wrocław



Model wydz. odzieżowego — Łódź



Fragm. wystawy tkanin — Łódź

MEDIOLAN

-prawdziwa stolica WŁOCH

KORESPONDENCJA
WŁASNA

— Rzym ma polityków, ruiny i papieża — słyszałem w Mediolanie — ale prawdziwą stolicą Italii jest Mediolan, centrum życia handlowego i przemysłowego, największy ośrodek artystyczny, teatralny, muzyczny i wydawniczy. Mediolan korzysta również ze sławy włoskiej metropolii jazzu i... strip-teasu. Jakże miasto włoskie może się więc równać z Mediolanem?

Turyści europejskiego zaskakują w Mediolanie jeszcze jeden fakt — jest to najbardziej amerykańskie miasto we Włoszech: drapacze chmur, olbrzymie magazyny (tzw. supermarkety), stacje gazowe dla obsługi samochodów, publiczne baseny kąpielowe i nastrój pełen ruchu i podniecenia sprawiły, że Mediolan bardziej przypomina Cleveland czy Baltimore, niż Florencję czy Neapol.

Ale te właśnie odrębność od typowo włoskiego „klimatu” upodobało sobie półtora miliona mieszkańców

Mediolanu. Szczycą się oni zresztą również faktem, że Mediolan ma około 200 dni ciesznych w roku (zapewniając przy tym turystów: to jest właśnie pogoda, która zmusza nas do ciągłego ruchu) podobnie — jak szczytą się największym w Europie „wysokościowcem”, 33-piętrowym gmachem firmy Pirelli, zaprojektowanym przez architekta o światowej sławie mediolańczyka Gio Ponti.

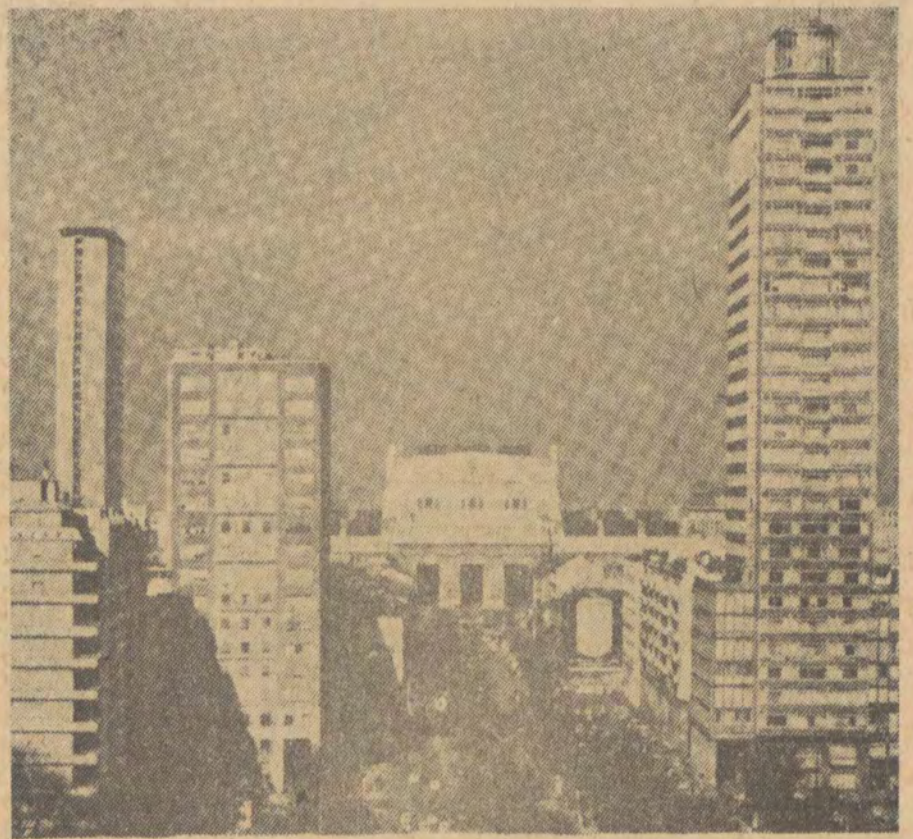
Po Mediolanie krąży dzień w dzień około pół miliona samochodów, a że ich szybkość poruszania się po mieście jest większa, niż np. w Rzymie, to i wypadków więcej. Mediolańczycy potrafią to jednak wytłumaczyć na swój sposób: „Mieszkańcy mają tyle ważnych spraw na głowie, że w zamysłu łatwiej wpaść pod samochód...”

Meżo to zresztą i słuszne uzasadnienie: na giełdzie mediolańskiej dokonuje się połowę wszystkich transakcji Włoch, mediolańskie fabryki

dostarczają całym Włochom i wielu państwom świata skutery i samochody, turbiny i maszyny do pisania, bojłery i książki. Mediolańczycy świadomi swego wielkiego znaczenia gospodarczego dla całego państwa, czasem grożą... przyłączeniem się do Szwajcarii. Gdyby to się im udało, Włochy bez Mediolanu spadłyby pod względem znaczenia gospodarczego w świecie do poziomu... Grecji czy Portugalii.

Tylko dwa akcenty historii klęczą się w Mediolanie z nowoczesnością miasta: jego centrum handlowe i przemysłowe, z architekturą szkła i stali; 14-wieczna katedra z której dachu turyści mogą rzucić okiem na świątynię szczytu „Monte Bianco” i arcydzieło Leonarda da Vinci: „Ostatnia wieczerza” w kościele Santa Maria delle Grazie.

Jak żyją mediolańczycy? Są to ludzie, którzy z równym entuzjazmem oddają się interesom co rozrywce.



Mediolan. Po lewej — wysmukłe dzieło Gio Ponti

Rocznie wydają oni 30 milionów dolarów w takich miejscach jak stadiony sportowe, 135 kin, 13 teatrów (m. in. słynna La Scala), w „piwnicach” tętniących jazzem... Jeden z takich nocnych klubów, „salon świętej Tekli” mieści się tuż obok rezydencji kardynała Montini ale ten fakt w niczym nie psuje nastroju hulawczej czy niekiedy wprost perwersyjnej zaba-

wy. U „Maxima” paryska piękność — specjalistka od strip-teasu, Monika, rozbiera i ubiera się na galopującym koniu.

Taki rys obyczajowy: żona mediolańczyka mają opinię bardzo niewiernych małżonków, ale czy naprawdę? Pewien adwokat tak o tym powiedział: Nie jesteśmy bardziej niemoralni niż Rzymianie, jest faktem tylko, że stać nas na to...

Jedną rzecz spędza sen z oczu lokalnych patriotów: w Mediolanie jest bardzo mały przyrost naturalny, wynosi on 5 osób dziennie, dzień w dzień za to przybywa do Mediolanu na stałe 115 nowych mieszkańców z Włoch i zagranicy. Mediolan przestaje więc coraz bardziej być sobą.

(fb)

Zakazane zdjęcie Hitlera



„SIEKIERA, MOTYKA, BIMBER, ALASZ PRZEGRZA WOJNĘ GLUPI MALARZ...” (ludowe)

Czysty, wczesny Hitler...

Iluż to artystów doczekało się sławy po śmierci, iluż przeszło do historii sztuki, a artystę malarza Adolfa Hitlera przesładowała pech! Nawet w dziedzinie akwareli nie może uzyskać on dobrej sławy. Oto w Londynie wybuchł ostatnio prawdziwy skandal związany z dwiema akwarelami pędzla mistrza Adolfa.

Jeden z największych salonów malarskich przy New Bond Street wystawił na sprzedaż akwarelkę przedstawiającą parlament wiedeński i drugie dziełko, mianowicie wiedeński kościół Karola, licząc za pierwszą około 800 dolarów, za drugą 850 dolarów. Zgodnie z panującym zwyczajem obrazki wciągnięte zostały do katalogu salonu, gdzie ich autor malarz Adolf Hitler znalazł poczesne miejsce wśród „najważniejszych impresjonistów i modernistów” ściślej mówiąc nazwisko woda III Rzeszy znalazło się

obok Renoira, Toulouse-Lautreca i Picassa.

A skoro się już znalazło trzeba było dodać nieco wyjaśnień monograficznych, jako, że od strony malarstwa nikt bliżej Adolfa Hitlera nie znał. A zatem dowiadujemy się, że rzeczoną akwarelkę przedstawiającą wiedeński parlament, sprzedał za 10 koron handlarzowi obrazów w roku 1910 ekscentryczny młodzieniec, który nosił czarną brodę i przydługie włosy.

Nazywał się ten młodzieniec Adolf Hitler i był, jak sam pisze w wydanej później „Mein Kampf” „małym, nieznanym rysownikiem i malarzem akwarelek, zdanym całkowicie na własne siły”. W czasie swej intensywnej twórczości malarskiej spłodził Hitler ponad 100 sztuk obrazków, z czego po dojściu do władzy zdołał odkupić dla muzeów Rzeszy jeno 50. Reszta gdzieś w świecie zaginęła.

Dwie rzeczony akwarelki nabył w roku 1912 jakiś Węgier i dopiero w roku 1938 zostały one rozpoznane jako „czysty, wczesny Hitler”. Rok później, osobisty fotograf Hitlera, Heinrich

Hoffman zawiadomił wodza, że niejaki Hans Walczok może kupić dwa wspomniane obrazki od aktualnego ich posiadacza na Węgrzech za 600 pengő. W jaki sposób obydwie akwarele dostaty się potem do Wiednia w ręce pani Moniki Fischer — nie wiadomo. W każdym razie ona to była ich ostatnią posiadaczką zanim akwarele znalazły się w londyńskiej aukcji.

O ile można się zorientować, chętnych do nabycia „czystego, wczesnego Hitlera” nie było wielu, za to znalazł się jeden i bogaty. Pan margraf von Beath. Ten przyjaciel sztuki oświadczył iż „nabywa malunki Hitlera mu umieszczeniu bohomyzów Adolfa Hitlera w katalogach i witrzynach salonów malarskich. Jeden z właścicieli największego domu sztuki Jacques O'Hana oświadczył: „Hitler był artystą w organizowaniu masowych mordów. Firma, która dziś podejmuje się sprzedaży jego obrazków przynosi nam hańbę!”

Ostatecznie obydwie obrazki zakupił za sumę 600 funtów właściciel londyńskiej księgarni Harold Mortlake, dając przeczornie do zrozumienia, że nie nabywa ich dla siebie, pośredniczy tylko w transakcji na rzecz wspomnianego powyżej margrafa von Beath. Ten zaś dokonał zakupu również nie dla siebie, a dla wzbogacenia zbiorów dokumentów premiera Churchilla, w którego życiu jak wiadomo Hitler odegrał wielką rolę. „Ostatecznie — powiedział Beath — kupiłem te obrazki, bo że namalował Hitler. Wiem, że nie mają one żadnej wartości artystycznej, ale dlatego kupują dziś ludzie obrazy malowane przez Churchilla?”

A więc i Churchill maluje? Ciekawe między jakimi malarzami wyznaczył mu miejsce historii sztuki lub jakiś praktyczny handlarz obrazów, skoro Hitler tkwi między Renoirem a Picassem.

Opr. M.



Adolf Hitler — Kościół Karola w Wiedniu — akwarela

MAREK KONOPKA PISZE Z USA

Wokół skandali radiowo-telewizyjnych

Po zachwyłach przyszło przebudzenie, po okrzykach podziwu — jęki przerażenia i wściekłości. Na wieść o przestępstwach w radio i telewizji taka była pierwsza reakcja dorosłej Ameryki, taka odpowiedź na skandale ze zgađuj-zgađulą i payrola, Ci, którzy się najbardziej zachwycali owym domniemanym szafłowaniem złota na telewizyjnych programach i szaleli z radości na wspomnienie dolarowych stogów gotówki, jakie rzekomo czekały szczęśliwców, nagłośnionej również protestowali, gdy się okazało, że wszystko to było udane i lipne, a sen o bogactwie jeszcze jednym matactwem cwanaków z Madison Avenue. Pospiesznie usunięto z radia i telewizji wszystkie quizy i zgađuj-zgađule, wydano nawet z pracy kilku pomniejszych funkcjonariuszy.

Naprawdę winni pozostali nie tknięci, nie ujawnieni, nie skalani. Przetłuszczanie tej przykrej sprawy zostało również szybko odwołane — a nuz ktoś dowiecpiwy chciałby dokładniejszego zbadania roli takich panów jak bracia Revson czy firma General Motors czy Reynolds Aluminum w tej aferze. Zignorowano również sprawę największej palenicy, skandal w amerykańskiej telewizji wprost blagający o porządne przewietrzenie: ogłoszenia i beceremonialne, beztraskie naciąganie faktów i wprowadzanie w błąd społeczeństwa przez kłamliwe oświadczenia i zapewnienia, po to tylko, aby jak najwięcej sprzedać z towarów ogłaszającej się firmy.

Skandale z telewizją, payrola, payroll, clarkola, royola, gariola. Cały słownik nowych wyrażeń, które o-

znaczają coś ciemnego, podejrzanego.

Payrola — jak czytelnicy dobrze wiedzą, to opłacanie haraczu. Płacą go właściciele wytwórni płyt patofonowych, pobierają popularni anonsery radiowi. Wzmania za haracz-payrolę popularyzujący daną płytę, wypychają ją na czoło, przyczyniają się do pomnożenia sprzedaży i zysków.

„Payrolla” — to skandal w świecie politycznym. Znany polityk umieszcza na pensji rządowej (payroll) swą żonę, teściową, zięcia i córkę, ciocię i babcię. Czasem te osoby wykonują jakąś pracę, częściej nie robią nic — ale pieniążki się toczą do rodzinnej kasy. Przykładów payrolli jest mnóstwo, ale jest ona przemilczana, za wyjątkiem okresów przedwyborczych — i gdy ktoś ma z politykiem „na pieniku”.

„Clarkola” to symbol zła stworzony przez króla rock and rollu, Dicka Clarka. Ten najbardziej nieutalentowany władca dusz amerykańskiej młodzieży okazał się dobrym kupcem. Jego świnstewka są różne, wielorakie, wszystkie jednak przynoszą piękny pieniąż. Przykłady: kupno udziału w płycie, która wyszła pół roku temu i absolutnie nie idzie. Za kilka dolarów mr Clarke kupuje „udział” w płycie i poczynają pchać na swych programach. W rezultacie płyta, która była „zdechłym koniem” stała się nagle przebojem. Płyta „Szesnaście świec” przed zainteresowaniem się nią mr Clarka nie szła w ogóle, po jego popularzacyjnym „blitzu” sprze-



str. 8 **odgłosy**

Gregorz Timofiejew

CZŁOWIEK

jest nagi



Stanowisko szrajbera objął Eckermann, polityczny.

Niedługo po tym wypadku z „dobrowolnym komandem” zostałem wezwany do sztu- by. Szrajber przy aplauzie blokowego oznajmił mi, że tym razem dostaję pierwszo- rzędne komando „Angora- zucht”. Wyjaśnił, co to jest:

— Komando hoduje półto- ra tysiąca białych królików.

Eckermann przykniął z lu- bością oczy, jakby te króliki ujrzał upieczone na włas- nym stole. Całe półtora ty- siąca.

Ale konkretnie chodziło tu o mój placek z kruszonką, który dostawałem niekiedy z domu. Szrajber bardzo go lubił. Pomyślałem, że taki smakosz nie da mi złej robo- ty.

— Bist du zufrieden? — Szrajber znacząco spojrzal na mnie w nadziei rewanzu.

— Jawohl, Herr Block- schreiber!

Jak tu nie być „zufrie- den”? Władzy obozowej nie odpowiada się „nein”.

Pewnego razu szedłem mię- dzy blokami. Spotkałem esesmana. Zrobiłem przepi- sowe „Mütze ab!”, lecz ese- sman podszedł do mnie i u- derzył mnie w twarz.

— Weiss warum? — zapy- tał.

— Nein.

Wtedy przywalił mi drugi raz.

— Und jetzt weis war- um?

— Nein.

Wtedy on trzeci raz.

— Und jetzt?

Powiedziałem bez namy- słu:

— Ja.

— Also! Pass auf! — Ese- sman spojrzal na mnie z ży- cziwością i poszedł sobie.

Od tej chwili nauczyłem się mówić zawsze „ja” i „ja- wohl”.

W rozmowie z Eckerman- nem stosowniejszą rzeczą by- ło powiedzieć „Jawohl” i lek- ko w głosie uwydatnić wła- sną godność, popartą jak wiadomo plackiem z kru- szonką.

Węc rzekłem „Jawohl” i poszedłem na dobre koman- do. Było nas czterech now- ych: ja, Hilary Maliszew- ski, onże Hipcio albo „sta- rosta”, Józef Luczak i jakiś harcerz.

Szrajber udzielił nam przedtem cennych pouczeń.

„Angorazucht” dostarcza króliczego puchu, z którego robi się kamizelki dla Luft- waffe. Praca ważna, odpo- wiedzialna. Będziecie hodo- wali króliki, ale nikt nie musi wiedzieć, że się na tym nie znacie. Jak kapo zapy- tał, coście robili na wolno- ści, odpowiedź, żeście byli królikarzami.

— A potem? — zapytałem nieśmiało.

— A potem się okaże. Za- wsze macie pięć minut wię- cej do życia. — Szrajber z powagą podniósł do góry wskazujący palec. — Pięć mi- nut to w obozie wiele.

Fajne komando! Potrafi- łem ocenić należycie u- śmiech fortuny: natychmiast odpaliłem szrajberowi ka- walek placka.

Nazajutrz jak zwykle o godzinie piątej rano gong zerwał mnie z pryczy. Wy- dawało mi się, że dzwięczy — Ang, Ang, Angorazucht. Wymaszerowałem z czterna- stką na apelplac. Esesmani zliczyli więźniów. Rapport- führer zameldował kome- dantowi stan obozu, po czym rozległo się donośne „Ar- beltskommando formieren!” Podniósł się ze wszystkich stron wielojęzyczny jazgot i rwetes. Więźniowie pędzili do swoich grup. Ci ze sztaj- buch starali się zająć lep- sze miejsce w pierwszych szeregach kolumny. Żeby do stać się do możliwej roboty. Plac apelowy kotłował się i wrzeszczał.

Pilotowani przez szrajbe- ra z czternastki udaliśmy się spokojnie w kierunku kuch- ni. Tu bez przepychania się i krzyku stawało królicze ko- mando. Z kuchni zabierano dla królików odpadki, tym tłumaczyć należy miejsce zbiórki.

Królikarze prezentowali się godnie, stali w nieprzy- muszonej pozycji i przerzu- cali się niekiedy dowcipa- mi na temat obozowego pleb- su.

Szrajber zameldował „nowych”. Dołączyłem na końcu.

Po chwili kapo bez bicia i wymyślenia dał rozkaz wymarszu. Więźniowie pod- ciągnęli się i spokojnie prze- strzegając „Tritt und Schritt” wyszli z obozu.

Przed wartą zdjeliśmy na komendę czapki. A że moro- we komando — „Mützen ab” poszło jak z płatka.

Kroczyłem w szeregach z ufnością i co tu ukrywać, z przyjemnym uczuciem, że się nie pracuje byle gdzie.

Komando królicze nie wy- chodziło przez główna bramę w kierunku południo- wym, co miało swoje znacze- nie. Bo to wyjście prowadzi- ło przez murowaną jedno- pietrową wartownię zwana Schukhausem. Przy niej stały gromady zawsze rozwście-

czonych esesmanów z Seidle- rem na czele i ujadają groź- ne psy. Nigdy nie wiadomo, co w takiej sytuacji może się wydarzyć. Dalej, w miejscu, gdzie wchodziło się na bitą drogę z St. Georgen do Ma- uthausen siedzieli na stu- pach dwa olbrzymie kamien- ne orły. Trzymały w szpo- nach swastykę, no i moje ży- cie. Orły zostały wyciosane przez naszych więźniów. Symbolizowały potęgę Trze- ciecia Rzeszy, były upite krwią.

„Angorazucht” maszero- wało, że tak powiem, bar- dziej kameralnie. Bramą nie opodal kuchni. Mniej tu by- ło pompy i grozy. Droga wiodła na północ, równole-

czystej perspektywie. Po- prawej stronie widziałem wysokie wzgórza pokryte świerkowym lasem. Ta część krajobrazu jakby śpieszyła się pokazać nam tak najwię- cej piękna, gdyśmy przecho- dzili. Jakby tym pięknem u- siłowała odrodzić w ludziach to, co zniszczyła zbrodnia.

Króliczarnia zajmowała dość rozległy obszar zadrze- wiony i rozkwiecony. Ni to sad z trawnikami i kwiatami, ni to pasieka ze spokoj- nym bzykanłem pszczoł. Sześciu czwóćki, wysypa- ne żółtym piaskiem. Wsze- dzkie widzieliśmy gospodar- ność, znana niemiecka schli- dność.

Co prawda, z tą samą sta-

ły obłoczek i jakby zawsty- dzony czym pręcej czmych- nie. Raj, albo co najmniej sielanka.

Tylko gdy się oczy ześliz- neły z gładkiego jak kry- stał nieba w bok — kamie- niolom. W kierunku północ- no-zachodnim przez drogę, blisko znajdował się stein- bruch Gusen. W upalnym słońcu zdawał się płońać og- niem. Wydarte dynamitem kamienne trzewia. Całe bloki granitu, ogromne, palające, piły się ku niebu. Po tych rozżarzonych piekielnych kregach snuły się szeregi więźniów. Dochodził krzyk pomieszany z jazgotem pne-umatycznych świdrów. Ka- mieniolom żarzył się w słoń- cu, mrowił się ludźmi i grze- chtał żelastwem... Plekło!

Wiec sielanka z królikami była pozorna. Tuż krążyła śmierć. Lecz wchodząc do raju nie wspominaj piekła. Miałem pracować wśród kró- likarzy, a nie w szteinbruc- hu. Zegnajcie diabły, do piekła mam czas!

Półtora tysiąca białych, puszystych królików hodo- wano z troskliwością, jakiej w Gusen nie zaznał czło- wiek. Każdy białek miał od- dzielne pomieszczenie. Klat- ki stały w trzech długich rzędach, a każdy był dwu- pietrowy. Z daleka odnosiło się wrażenie, że to jakieś bardzo wysokie ule.

Rzuciłem ciekawie okiem. Tu i tam migwały długie słuch- chy. Nie opodal pukaly w siatkę białe pszczołki.

Ale nie wypadło mi się gapić. Następowal uroczyście moment przyjmowania „no- wych”.

Komando nie było liczne, coś około trzydziestu wię- źniów. Sami prawie Polacy. Przeważały trójkaty czerw- one, więc polityczne.

Kapo był „czerwony”. Po- lak. Przed wojną służył w wojsku jako chorąży. Jesz- cze teraz w maszynowej zwal- listej postaci wyczuwało się charakter wojskowego. Po- chodził ze Śląska, jak wielu Polaków na stanowiskach w Gusen, i nazywał się z chło- piska — Gałata. Na imię miał, zdaje się, Franciszek.

Wiedziałem z opowiadania starych lagrowców, że jaki kapo, takie komando. Byłem zaciekawiony. A czy szraj- ber z czternastki nie prze- chwalił? Jak tu będzie?

Ale otoczenie rodaków, czerwone winkle, twarz Ga- łaty raczej dobrodusza, głowa choć ogolona zdradza- jąca siwiznę (wiek powagi i dobroci dodajcie!) — podniósł mnie na duchu. Na pew- no nie będzie tu źle!

D. c. n.



dano półtora miliona jej e- gzemplarzy, zarobiono na czysto „chłodny milion”.

Inny przykład „clarkoli”. Frankie Avalon jest pięknie prezentującym się chłopcem, podobnie jak Darin, Anka, Fabian. Głosiki mają słab- biutkie, ale podobają się dziewczętom. Elvis Presley służy w wojsku, ktoś go mu- si zastąpić. Cóż z tego, że wymienieni panowie nie po- trafią śpiewać? Kto z mło- dej Ameryki zna się na mu- zyce, gdy się ją od lat kar- mi rock and rolem? Słu- cha się wycia Fabiana czy Avalona na koncercie, pan- nice w wieku lat trzynastu mdleją z zachwytu. Avalon jest więc popularnym pio- senkarzem — ale nie umie śpiewać! Jak go skomercja- lizować, jak zarobić na jego popularności? Bardzo pro- sto: piosenkarze X czy Y mają piękny głos, ale z uró- dą jest nieco gorzej. Tych się wynajmuje, oni śpiewają, ich głos idzie na płytę — tyl- ko na etykiecie zamiast na- zwiska piosenkarza X wsta- wia się nazwisko Fabiana. Rosnie sława na cały świat — i gdyby nie jakiś wścibi- ski dziennikarz któryby się o tym dowiedział?

„Royala” to udoskonalo- na forma „payoli”, ugrze- czniona, bezpieczniejsza. Zu- pełnie jak w kradzieży — gdy skradziono sto zł to kra- dzież, gdy sto tysięcy to de- fraudacja, gdy milion to malwersacja.

„Girlela” to forma „pa- yoli”, w której jednak za- miast gotówki płaci się uro- dziwymi panienkami. Bar- dzo popularna rzecz na zja- zdach i obradach związku muzyków, aktorów i spiker- ów radiowych.

A wśród tego bagienka- tkw amerykańska młodzież. Żyje ona radiem i telewizją. Z telewizji czerpie 75 proc. swych rozrywek. Bez radia młody Amerykanin, ten w wieku od lat czterdziestu do dziewiętnastu, nie potrafił- by żyć. Pod oddziaływa- niem radia młodzież tkwi przynajmniej cztery godzi- ny dziennie. Młodzież szkół średnich bez radia nie po- trafiłaby chyba przeżyć dnia! Radio hałasuje, wrze- szczy na okolicę, bębni i pękają w uszach, ale tylko wtedy „teenagers” czują się w swoim żywiole i wtedy najlepiej się odrabia lekcje, czyta i pisze rozmawia i plotkuje i rozmyśla. Spró- bujcie tak wyłączyć ten wrza- skliwy aparat — spotka was fala protestów i próśb — bez hałasu bowiem, jakie wtw- arza radio, młoda Amery- ka nie wyobraża sobie dnia.

Telewizja oddziaływa na dzieci, rodziny z gromadą

dzieci koncentrują całe swo- je życie, układają plan współ- życia rodzinnego wokół te- lewizora, który jest cen- trum nie tylko mieszkanka i najważniejszym meblem w domu, ale również i dyktato- rem poczynań i zamierzeń. Na miliony chyba można by polecić rodziny, które je- dzą obiad „telewizyjny” zło- żony z łatwych do przyrzą- dzenia i podania potraw; Poszczególnej członkowie po- zerają je bez zastanowienia się, zapatrzeni w szklany ekran telewizora jak wrona w gnat i gąstuchami w bo- haterskie przygody jakiegoś utrapionego kowboja. Onże sam, w pojedynkę, pokonał brygadę złoczyńców i dwie dywizje Indian, zdobył ser- ce bogdanki i gdy nieboża mdleje i pada mu w objęcia nasz bohater całuje swą ty- są kobyle, powlewa kapelu- szem na pożeganie i odjeżd- ża na zachód od Peco i od Waco po nowe przygody, któ- rzy ciąg dalszy zobaczcie za tydzień — same time, same station — a tymcza- sem kupujcie pigułki świę- tego Albana jako najlepszy środek na przeczyszczenie (pigułki św. Albana opla- cają koszt tego programu).

Z tego wszystkiego co mu- si przecieżyć pozostać w u- myśleć młodzieży. Urabia- no swoje poglądy, swą mo-

ralność według wskazań swych bohaterów. Oddzia- lywanie radia i telewizji mu- si znaleźć więc jakiś odpo- wiednik w życiu codziennym w obyczajach, w światopo- gładzie młodzieży amery- kańskiej. Jakie ono jest, czym się wyraża?

Trudno znaleźć odpowiedź całkowitą i zupełną, trudno też upraszczać czy uogół- nianiem jest zwykle losem korespondenta zagraniczne- go).

Wpływ radia i wpływ tele- wizji na młodzież amery- kańska nie jest, niestety, dodatni. Albo dokładniej — rzeczy dodatnie, jakie radio i telewizja dają, są anulowa- ne wpływem rzeczy złych.

Pomnie już tutaj sprawę smaku artystycznego i upo- dobań muzycznych. Gotów jestem zapomnieć urabianie młodych ludzi w duchu bo- gardy do innych ludzi, na- sycanie ich umysłów tram- tadractwem i pucha, nakła- nianie w kierunku konser- watywnym. Szkoła życia na- uczy tych ludzi liberalizmu, wybił im z głowy zachowawczość. Wpływ jednak na moralność i na obyczaje młodzieży jest szkodliwy i to trudno wybaczyć.

Ten zadziwiający wpływ radia i telewizji na mło-

dział amerykańską zauważo- no podczas pierwszych prze- słuchań w Komisji Kongre- sowej USA. Wskrywno rze- czy rewelacyjne i oburzają- ce. Największy z bohaterów quizowych, Charles van Do- ren, został zdemaskowany jako oszust. Sławny pisarz, syn sławnego poety, dyrektor programu telewizyjnego, lektor Uniwersytetu Colum- bia, okazał się szalibierzem, który w zmoście z innymi nabierał społeczeństwo. Pra- sa udawała gniew, starzy wrzeszczeli, plakali nad u- padkiem politycy — ci od pavrolli — ale młodzież nie protestowała, raczej owacyni- le witała Van Dorena jako bohatera.

Zupełnie podobna była re- akcja młodzieży na rewela- cje dochodzeń w sprawie pavoli, clarkoli, rovoli, gir- loli. Amerykańska młodzież nie uważa tych skandalicz- nych rzeczy za moralnie złe, co więcej, w większości u- waża je za usprawiedliwio- ne i moralnie dobre. Insty- tut Gilberta, zajmujący się całkowicie badaniami spraw młodzieży i przeprowadzają- ew ankiety i badania ohił młodzieżowej i tutaj prze- prowadził swe własne bada- nia i uświadnił niezwykle cie- kawie zjawisko: zaledwie 20

proc. młodzieży amerykań- skiej uważa, że oszustwa i nabieranie ludzi w quizo- wych programach telewizyj- nych są moralnie złe, zaled- wie 3 proc. uważa, że winni tych przestępstw powinni być pociągani do odpowie- dzialności sądowej. Sytuacja wokół skandali radiowych - pavoli, clarkoli, rovoli, gir- loli jest jeszcze gorsza — tylko 8 proc. amerykańskiej młodzieży uważa, że branie pieniędzy za granie poszcze- gólnie płyt, branie lampo- wek, oszukiwanie społeczeń- stwa przy pomocy fal radio- wych, które w teorii należą do całego społeczeństwa, jest moralnie godne potępienia, 92 proc. uważa, że nie złego się nie stało, wszystko jest w porządku, a cel używca środki. Celem jest zdobycie pieniędzy — ktoś więc prze- biera w środkach?

Od demonstracji pewnych poglądów do praktyki droga nie jest bynajmniej bliska, ale i tutaj młodzież poczyna- ja z łatwością przebywać.

MAREK KONOPKA

str. 9



Krótka rozmowa ze speakerką JADWIGĄ PIĄTKOWSKĄ

— Do niedawna jedynie film gwarantował popularność każdemu, kto wielokrotnie ukazał się na srebrnym ekranie. Teraz doszła telewizja. Twarze speakerów Warszawy, Łodzi, Katowic są nam tak dobrze znane, że często spotkawszy na ulicy Warszawy Wicherka, czy Irenę Dziedzic klaniamy się im szarmancko. Czy pani również miała takie przypadki? — zwracam się z tym pytaniem do speakerki Łódzkiej Stacji Telewizyjnej Jadwigi Piątkowskiej.

— Oczywiście, choć skąpe ramy programu nadawanego przez Łódź nie pozwalają nam tak długo gościć na antenie jak np. speakerom warszawskim, siad widzowie znają nas gorzej. Ponadto nie jestem przecież jedyną w Łodzi speakerką. Jest nas pięćka, w tym cztery panie. Ale często kupując coś w sklepach, czy na ulicy widzę, że poznają mnie z ekranu.

— Jak często wypadają pani dyżury?

— Mniej więcej dwa razy w tygodniu i trwają przez cały program.

— Speakerzy w naszej telewizji ukazują się zawsze na ekranie w pozycji siedzącej i widoczni są tylko do połowy. Czy nie sądzi pani, że strona wizualna zapowiedzi winna być urozmaicona tzn. speaker, czy speakerka, po-

winni być pokazywani w ujęciach stosownych do anonowanego tematu. My np. żałujęmy bardzo, że pozbawia się nasze panie możliwości pokazania nóg...

— Odpowiem najzupełniej prywatnie: sędzę, że niewątpliwie urozmaiciłoby to program. Np. w telewizji czeskiej stosuje się szeroko pełne plany, speaker, czy speakerka raz siedzi w fotelu, stol, podchodzi do kamery, ma prawo do dyskretnego gestu, który bardzo pomaga. Ale trzeba pamiętać o dodatkowym kłopotcie, o talentach, o fryzjerze, który urzędowałby na miejscu, o charakterystyce. To wszystko kosztuje. Telewizorów jest jednak jak miałam możliwość przekonać się nieraz, bardzo zwracają uwagę na wygląd, uczesanie, ba nawet na samopoczucie speakera. Kiedyś im coś nie konweniuję natychmiast dzwonią i zwracają uwagę inspektorowi programu. Tak samo jest w wypadkach pomyłek...

— Ostatnie pytanie, z Innej beczki. Jak długo pracuje pani w telewizji łódzkiej i jak pani tam trafiła.

— Trafiłam dzięki „Expressowi”, który dwa lata temu zorganizował konkurs na speakerkę telewizyjną. Poszczęściło się i przeszłam. No i tym samym pracuję już dwa lata.

Co przyszłość niesie?

Od 25 sierpnia Olimpiada 1960 w TV

Pod koniec sierpnia Łódź w programie ogólnopolskim przeprowadzi transmisję z Operetki Łódzkiej. Obejrzy my raz jeszcze wraz z całym krajem operetkę „Bal w operze”.

Miłośników sportu ucieszy wiadomość, że od 25 sierpnia codziennie w programie

telewizji, a czasem nawet dwa razy dziennie, oglądać będą mogli bezpośrednio transmisje z Igrzysk Olimpijskich w Rzymie. Telewizja Polska otrzymywać będzie relacje poprzez system Interwizji, czyli zespół stacji telewizyjnych należących do krajów demokracji ludowej.



TELEWIZJA

W tym tygodniu obejrzymy

Przede wszystkim potwierdzamy odbiór b. dobrej adaptacji telewizyjnej spektaklu teatru im. Jaracza — farsy Fiersa i Cailaveta „Ładna historia”. Po długim okresie chudym piątkowy wieczór w TU, dzięki telewizji łódzkiej, był nareszcie tusty — udany. Prezentowanie w TV spektakłów teatralnych, które echodzą już z afisza jest pomysłem ze wszech miar godnym pochwały. Oczekujemy na następne! Reżyserem wersji telewizyjnej „Ładnej historii” był Tadeusz Worontkiewicz.

A teraz co najbliższe dni niosą.

Czwartek 4 sierpnia

18.55 „Tele-Echo”. 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.55 PKF. 20.05 Film fabularny prod. francuskiej „Za kulisami” od ilu lat dozwolony — nie podano. 21.45 Ostatnie wiadomości.

Piątek 5 sierpnia

18.35 Program publicystyczny z Łodzi pt. „Nowe mąszożyny — nowi ludzie”. 19.05 Recital śpiewaczy Zofii Janukowicz. 19.30 Dziennik telewizyjny. 19.55 Druga seria filmu fabularnego produkcji radzieckiej pt. „Siostry” (film dozwolony od lat 16) 21.25 Ostatnie wiadomości.

Sobota 6 sierpnia

17.30 (znakomity) Film do-

kumentalny prod. francuskiej pt. „Świat milczenia”. 19.10 „Paragraf i fajka”. 19.30 Dziennik telewizyjny. 20.05 Program tygodnia z Łodzi. 20.20 Film fabularny prod. polskiej (dozwolony od lat 18) „Dom na pustkowiu”. 22.00 Ostatnie wiadomości. 22.05 Wesoła arena — program rozrywkowy.



Uwagi na marginesie

Pospolite ruszenie na TV

Gdybyśmy nie znali nielubianych warunków pracy naszej TV rąbnęlibyśmy pięścią w stół i krzyknęli: do pioruna dość tej zabawy, róbcie coś, ruszajcie się panowie z tamtej strony nadajnika! W telewizji, jak wszędzie jest spłocik. Ten spłocik utrudnia poruszanie się. Pod określeniem spłociku rozumiemy cały szereg zabiegających się zagadnień natury personalno-finansowo-artystycznej, jak również generacyjnego stosunku władz do telewizji w ogóle. Nie będziemy rozplątywać tego splotu, bo ani nas do tego nie powołano ani zadaniu nie podaliśmy. Przypuszczalnie tak się mówi wokół, jesień powinna przynieść radykalne zmiany w telewizji. Bo dłużej trwać w tym bezruchu nie podobna. Ostatnio każda niemal gazeta i tygodnik kulturalne napadają na program TV, dostrzegając w nim masę braków. Jeśli dwa lata temu, telewizja była rzeczywiście zabawką, widzowi wystarczyło, że świecił się ekran i coś się tam poruszało, gadało, to teraz jest to jeden z najpoważniejszych instrumentów oddziaływania kulturalnego i politycznego na wielomilionową rzeszę widzów, to środek dotarcia z informacją, spektaklem teatralnym i komentarzem poli-

tycznym na zapadłą proleciwą. Telewizja chwyciła, zdobyła i zdobywa widzów teraz więc kolej na małe porządki w zespołach przygotowujących ten program. Bo wszystkie znaki na niebie, ziemi, a głównie na ekranach telewizorów wskazują od dawna na to, że prócz paru rodzynków przez cały tydzień program TV jest mdły, jak to określa Alina Grabowska w „Głosie Robotniczym” „Nudy na pudry”. Nie będziemy zajmować się tu anatą, zacytujemy jeno fragmentek artykułu Jerzego Hordyńskiego z 444 numeru „Życia Literackiego” pt. „O telewizji brutalnie”.

... i wkroczyliśmy na polską drogę telewizji. Nikt wówczas nie wierzył w trwałość i znaczenie instytucji. Stała się ona przytulkiem dla wynany. Była dowodem najwyższego humanitaryzmu. Jeśli już ktoś zupełnie „wyśiadł” na urządzie czy w radio-dawano go do telewizji. I zanim się który ze sprytniejszych obejrzał-wszystkie posady były już zajęte, a mały ośrodek stał się poważnym faktorem łaskotania ludzkiego czasu”.

Program telewizyjny, tak bardzo ostatnio krytykowany, robią, proszę państwa, ludzie. A nie krasnoludki, które choć podobno są na świecie, pozostają niewidoczne.



Warto obejrzeć

Entuzjastom lotnictwa polecamy arcyciekawą wystawę Aeroklubu Łódzkiego (pierwsza tego typu wystawa w Polsce) pt. „Lotnictwo Polskie w walce z faszyzmem”.

Ekspozycja czynna jest w lokalu przy ulicy Piotrkowskiej 12 a składa się na nią szereg dokumentalnych

zdjęć, plansz, map itp. Zainteresowani znajdują tam nieomal pełny przekrój przez historię polskiego lotnictwa ostatniej wojny.

Wystawę szczególnie gorąco polecić można młodzieży jako że zainteresowanie lotnictwem jest wśród najmłodszej generacji niemałe.

Goście w Łodzi

Ostatnio na zaproszenie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Związku Bojowników o Wolność i Demokrację gościli w naszym mieście: przedstawiciel ambasady NRD pułkownik A. Pfennig, dyrektor Ośrodka Informacji NRD Bendix oraz korespondent radia niemieckiego redaktor Dreschler.

Goście uczestniczyli również w spotkaniach z łódzkim społeczeństwem.



Muzeum brzydoty

Z radością stwierdzamy, że nasze notatki nie mijają bez echa. Dlatego też w dalszym ciągu będziemy wskazywać palcem na przykłady szmiry i złego smaku.

Dziś znów mamy prześlizgnięty kwiatek z łączki „dekoratorskiej”. Otóż w witrynie Zakładu Reparatyjnego pończoch przy ul. Piotrkowskiej 31 wystawiono celem reklamy dwie wyjątkowo mało powabne damskie nożki z papieroplastyki.

„Odgłosy” wiele w życiu widziały ale z tak nieumie-

jętą i nieestetyczną reklamą zdarza się nam spotkać po raz pierwszy... Oby po raz ostatni.

Kilka domów dalej znajduje się niewielki prywatny sklepik będący klasycznym „panoptikum brzydoty”. Porcelanowe figurynki w mdłych kolorach, pseudogotyckie maseczki i inne brzydactwa...

Skoro jednak sklepik egzystuje już parę dobrych lat widąc nabywców nie brak. Smutne.

Czterdzieści tysięcy

Czterdzieści tysięcy Poloniaków oklaskiwało niedawno „Wesele łowickie” w wykonaniu znanego już w kraju i zagranicą Łowickiego Zespołu Pieśni i Tańca. Niezmiernie nas cieszy powodzenie zespołu i życzymy mu dalszych sukcesów ale...

po skrupulatnych obliczeniach okazało się, że naprawdę wiele już razy „księżyc odmienił się złoty” kiedy to ostatni raz „łowicki” występował w Łodzi. A przecież my też nie od macochy...

Bestsellery miesiącu

I oto znów mamy listę najciekawszych książek miesiąca, książek, które jak nas poinformowano w księgarni „Pegaz” cieszą się wśród łódzian ogromnym wzięciem.

A więc przede wszystkim przeżabawna ahtologia Juliana Krzyżanowskiego i Ka-

wnych i żartów, którym bawiono się w minionych stuleciach. Wartość zbioru podnosi jeszcze fakt, że większość materiału (głównie z XVII i XVIII wieku) publikowana jest po raz pierwszy.

Powodzeniem cieszy się również wydana także przez PIW (nakład 15 tys., cena 20 złotych) powieść mało u nas znanego pisarza czeskiego Frantiska Kozika pt. „Ostatni z pierrotów”. Książka jest opowieścią o losach cyrkowego pierrota (z pochodzenia Czecha) w okresie Francji ponapoleońskiej.

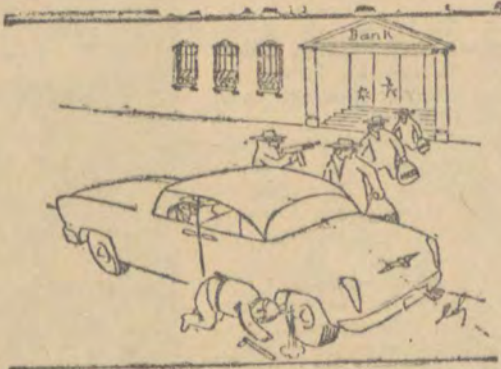
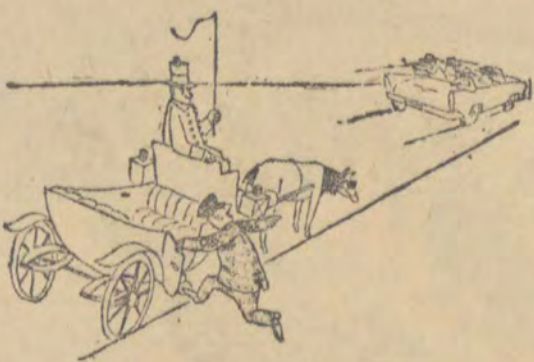
Józef Bieniarz wydał natomiast w „Ossolineum” książkę o trochę innym charakterze niż sygnalizowane powyżej. „Gabriela Zapolska” jest biografią znanej pisarki, osnutej na podstawie autentycznych dokumentów, listów, notatek osobistych, pamiętników...

Nakład niezwykle mały, bo zaledwie 4.800 egz. Radzi my więc pośpieszyć się z nabyciem tej naprawdę pasjonującej książki.



zimiery Żukowskiej-Bilip pt. „Dawna facecja polska” wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy w nakładzie 10.000 egzemplarzy. Cena raczej umiarkowana — 50 złotych. Jest to zbiór anegd., parodi, listów, komicznych kazań, igraszek sło-

Najostrzejsze ołówki świata



FORD
Niemiecka
Republika
Federalna

Niemiecki oddział znanych amerykańskich Zakładów Forda (Ford Motor Company). Producent: Ford-Werke A. G., Henry Ford-Str. 1, Köln-Niehl, Bundesrepublik Deutschland.

FORD TAUNUS 12 M. popularny wóz średniej klasy. Silnik 4 cyl. rzędowy o poj. skok. 1172 cm³ i mocy 38 KM (DIN) przy 4250 obr./min. Stosunek sprężania



6,8:1. Skrzynia biegów 4 przekładniowa (II, III i IV bieg synchron.), wżg. 3 przekładniowa (wszystkie biegi synchron.); przekładnia biegów przy kole sterowym. Hamulce hydr., chłodzenie wodą. Zbiornik paliwa o poj. 34 l., bateria 84 Ah, instalacja elektryczna 6 V. Nadwozie 2 drzwiowy kocz o ciężarze suchym 821 kg wżg. kombi (Station Wagon) z dodatkowymi drzwiami z tyłu o ciężarze suchym 898 kg i nośności 500 kg. Ogumienie wym. 5.00-13. zużycie paliwa ca 8,1 l/100 km, szybkość maksymalna 110 km/godz. kombi 105 km/godz.).

Eberhardt Holz

W swoim czasie przedstawiliśmy już w naszej rubryce tego świetnego humorystę zachodniemieckiego (n. b. podano wówczas błędnie jego imię — Carl, zamiast Eberhardt). Drukowane wtedy żarty ukazywały śmieszność ludzi, uwikłanych w zadziwiający splot przypadków, ludzi pokonywanych przez złośliwość przedmiotów marnych.

Ostatnio Holz odmienił nieco temat i „filozofie” swojego humoru. Zainteresowali go bohaterowie bardziej „aktywni”, którzy w każdej okoliczności chcą sobie poradzić. Oczywiście — zawsze przy tym popadają w przesadę, a następnie... w jeszcze gorsze tarapaty.

Tym większy efekt komiczny osiąga Holz, że jako bohaterów obrabiał ludzi, którzy z racji swego zawodu muszą być aktywni, a nawet groźni: policjantów i gangsterów. Postawienie zaś właśnie groźnego stróża porządku w sytuacji dwuznacznej, albo też równie groźnego opryska na krawędzi katastrofy — rodzi zawsze nieodparty efekt komiczny.

Żarty Holz, do niedawna tylko sporadycznie docierające do Polski — są teraz znacznie łatwiej dostępne.

Otóż humorzysta ten nawiązał stałą współpracę z tygodnikiem satyrycznym, wychodzącym w NRD — „Eulenspiegel” — i niemal co tydzień drukuje tam porcję kapitalnych dowcipów.

(jert)



Łódzki
BIGOS HISTORYCZNY
CZYLI
CO BYŁO, A NIE JEST,
PISZEMY W REJESTR

(„Kurier Łódzki” — Dziennik polityczny, społeczny i literacki, rocznik 1911, m-cie I-III, nry 25, 29, 35, 39, 41, 48, 56)

PRZENIESIENIE STOLICY... BRAZYLII

Siedziba władz rządowych (ryzont) w Stanie Minas Gebrazylijskich z powodu słabej Wniosek ten uzasadniono niebezpieczeństwem wywołanym szczególnie nowym Prebucichów rewolucyjnym wzydent najwyższego sądu Rio de Janeiro, ma być przeniesiona do miejscowości man. Bello Horizonte (Piękny Ho-

PO CENIE NIŻEJ KOSZTU...

Schmechel, Piotrkowska wane, Halki czarne alpagone, Halki czarne jedwabne, Halki wełniane z kandaż... Halki czarne jedwabne, Halki wełniane trykotne, Halki jedwabne haftowane od rubli 1.30 do rubli 10.

SOLIDNE OGŁOSZENIE

Jokohama. Pismo Karanawa Schinbun zamieściło ogłoszenie panny Hosnsehl:



„Jestem młodą, piękną kobietą, o wstępnym jak obłoki włosach, moje spojrzenie ma jedwabisty połysk kwiatu, me brwi są na kształt wschodzącego księżyca. Majątek mój starczy bym przeszła z ukochanym słodko przez życie, wpatrzona w blask jutrzeńki. Jeżeli znajdę małżonka godnego, podzielę się z nim mem mieniem. Żyć będziemy razem szczęśliwi tak długo, póki

różowy marmur nie pokryje naszej mogiły.”

Ogłoszenie wdzięczne, nieścisłe, u nas nie spotykane...

ILE SŁÓW ROCZNIE...

Jeden z angielskich uczoników — 52 tomy o 600 stronach obliczył w przybliżeniu:

Nie odnosi się to do nauki wypowiada w godzinie 29 stron druku w ósemce, „najkrótsza rozmowa do jeżeli przyjmujemy, że na dowarząski”, w druku zajęłąbę mówi się trzy godziny, by większy „kieszonkowy” wypadnie 600 stron druku tom słownika o kilkuset w jednym tygodniu, zaś w stronkach...

OSWIETLENIE ELEKTRYCZNE ŁODZI!



Wczoraj 14 lutego 1911 roku — zapłonęły wreszcie na ul. Piotrkowskiej i Dzielnej łukowe lampy elektryczne. Dotychczas były gazowe. Nowe lampy łukowe pełną pośrodku, jak długi szereg jasnych księżyców i oświetlają znaczącą przestrzeń dookoła. Jeszcze tylko uzbrojmy się w ciepłość — bo magistratowi nie spieszy się wcale z urzeczywistnieniem kanalizacji i wodociągów w naszym mieście.

MALŻEŃSTWA NASZYCH TELEGRAFISTEK

Ostatni Okólnik dyrektora Poczty i Telegrafu wzbudził jako pierwsze — perna kobietom, pracującym w służbie, wychodzenia za mąż za kogokolwiek prócz urzędników poczty i telegrafistów. Nawet Dyrektorowie i profesorowie uniwersytetów odwołują pensję — za pracę, i za pracę. Pensja za urząd obowiązkowy swego pozostanie obowiązkowe do żadnych wzięcia często pomocnikom i zajęć. Jeśli zaś spełnia swe obowiązki związane z urzędem zajęła — skarb państwa płaci mu podwójnie, w przeciwnym razie drugą pensję odbiera jego zastępca. Nawet Dyrektorowie i profesorowie uniwersytetów odwołują pensję — za pracę, i za pracę. Pensja za urząd obowiązkowy swego pozostanie obowiązkowe do żadnych wzięcia często pomocnikom i zajęć. Jeśli zaś spełnia swe obowiązki związane z urzędem zajęła — skarb państwa płaci mu podwójnie, w przeciwnym razie drugą pensję odbiera jego zastępca.

RAJ DLA BIUROKRATÓW

„Urzędnik portugalski ma stwa płaci mu podwójnie, w przeciwnym razie drugą pensję odbiera jego zastępca. Nawet Dyrektorowie i profesorowie uniwersytetów odwołują pensję — za pracę, i za pracę. Pensja za urząd obowiązkowy swego pozostanie obowiązkowe do żadnych wzięcia często pomocnikom i zajęć. Jeśli zaś spełnia swe obowiązki związane z urzędem zajęła — skarb państwa płaci mu podwójnie, w przeciwnym razie drugą pensję odbiera jego zastępca.

Redaguje Zespół o Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” o Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Władni prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. Redakcja nie zamawia reklam bez wcześniejszego zwrócenia o Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Historosze oraz PUPK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” o Druk: RSW Prasa — Łódź, Zwirki 17. o Zam. 2348. VII. 60. R-4

IZYGMUNT
fijas
Nasze
orędzie
do narodu
czytającego
„Odgłosy”
unaPARK

Mylił się ten, kto twierdził, że życie felietonisty, publicysty słodkie jest jak lukrecja... Ze nie jest słodkie, tego dowodzi list otrzymany przeze mnie przed laty a taką treścią wypełniony:

Szanowny Panie Redaktorze!

Piszę do Pana na maszynie tylko jednym palcem, bo na więcej Pana nie szanuję...

Bardzo mnie się podoba sposób pisania tych wyopin, którymi nas Pan traktujesz... Od kilku miesięcy cała nasza kamienica jest przekonana, że zbutwiały pień więcej miałby do powiedzenia niż Pańska Osoba... Czy to przypadkowo nie Pan napisał te fantastyczne bzdury o maści witaminowej doktora Kuliabki, po której tkanki nogi czy brzucha zrasła się z tkankami nosa? (Pisałem o tym rzeczywiście

w felietonie „Nosy na zamówienie”).

Jeśli Pan to pisateś, to spiesz Pan oznajmić, iż wieciech stomy o wiele zrzeczniej wypełniałyby te łuki, którą Pan starasz się wypełnić, Człowiecze!

A co nas obchodzi, ile Pan ma palców u rąk i nóg! (Chwaliłem się istotnie w felietonie „Proszę nas nie mylić z Bertoldem Schwarzem”, że posiadam ręk i nóg tylko dwadzieścia palców, dwa łokcie, dwie pięści, a nie mniej i nie więcej niż chce zuchliwa mi lub nieżyczliwa propaganda!)

Przejeżdż się Pan po innych, którzy tylko czekają na to, a nie przejeżdżają się po swej osobie, bo to tylko wtedy takie ubóstwo tematu.

Najlepiej, żebyś Pan moczył codziennie nogi w oleju — dla Pana wystarczy 12 godz. (nocą) — następnie stał na głowie przez 12

godz. (dnem) i jak poczujesz smak oleju na języku, byś pozatykał wszystkie doczesne otwory swego ciała, żeby olej przez nie nie wyciekł, lecz użył Pańskie wyblakłe dowcipy.

Uznanie składam dla artysty, który spłodził karikaturę Pana. Kapitalny! Głba Pańska jakoby unurzana w musztardzie!

Jeśli Pan tak wyglądasz, to serdecznie wleńszuję!.. Śmiały się z tego całe sutereny a i jeden warszawiak o mało co, ze strychu nie zleciał!”

Cóż na taki list odpowiedzieć? Najlepiej pozostawić go bez odpowiedzi.

Tak chętnie odpowiedziałoby się w ten sposób: I ja wleńszuję tego pięknego listu. Przez całe życie nigdy nie przestanę wleńszować... Dla odmiany radzę czytelnikowi stanąć przed lustrem z wałkiem nad głową i tak długo uderzać się wałkiem po ciele, aż lustro pęknie... A jak pęknie, sprawić sobie inne i dawać tego samego na nowo!

RENCISTCE W ODPOWIEDZI
W tece posiadam także list tej treści:



Szanowny Panie Docho-rze!

Mieszkałam kątem w jednej z miejscowości uzdrowiskowej... Jak z tego wynika, wspaniale, mineralne powietrze, za tykanie którego inną słono płacę, mam za darmo... Gratis także mam wszelkie wody zdrowe... Bezplatnie patrzę na piękne widoki... Zylaki, tasiemca mam też za darmo!

Czy nie jest ironią losu, że z tych samych darmoch korzysta każda kanalia żyćciowa, przebywająca do tych stron z zamiarem wydania dziesięciokrotnie wyższej kwoty, niż rencistka wydająca miesięcznie 52 zł?”

Odpowiadamy: Nie jest ironią. Rencistka nie posiada samochodu marki „Hudson”, spalającego 16 litrów benzyny na 100 km, wskutek tego łącznie z benzyną i remontami nie kosztuje ją ten krążownik szos czter tys. zł miesięcznie

Rencistka nie kupuje codziennie wędliny, wskutek tego nie jest zmuszona codziennie dopłacać za niedoważki... Rencistka nie oddaje bielizny do pralni, wskutek tego nie uczestniczy w ogólnej pull strat, spowodowanej przedwczesnym rozsypaniem się tkanin... Rencistka nie niszczy sobie uzębienia słodyczami, wskutek tego nie jest zmuszona cierpieć na nadkwasotę i wydawać tysięcy na kosztujące piombi.

A w końcu i krótko mówiąc: Dlaczego zazdrości Pani bliźnim posiadania tasiemca, skoro go sama posiada? Czy już aczeża w Tobie nadzieja posiadania drugiego scilicet? Świat już jest przed Tobą zamknięty?

„Historia współczesna“ w łódzkim atelier

Aleksandra Śląska pochylona nad wanną, zajęta praniem. Do łazienki wchodzi z troską Emil Karewicz. Przez chwilę patrzy niezdecydowanie:

— Jadziu, zostaw, wróć wieczorem, to ci pomogę.

— Lepiej byś się postarał o to przeniesienie. — Odwrócenie głowy profilem do kamery, w stronę Karewicza, smutny uśmiech. — Idź już, spóźniłeś się do pracy.

Ta scena powtarzana jest kilkakrotnie. Najpierw, oczywiście, „na sucho” — próby.

Pani Wanda — jak tu nazywają rez. Jakubowską — ciągle niezadowolona. Na dołatek operator dźwięku narzeka, że metalowa pralka dudni i zagłusza dialog.

Po godzinie aktorzy grają bez zarzutu, pod oralkę podłożono gorę bielizny, żeby nie dudniła, a dla pewności — podczas mówienia pani Śląska ma nie trześć, tylko namydląć prany kawałek. Można kręcić.

Absolutna cisza. Ujęcie powtarza się na wszelki wypadek trzy razy (do filmu

wejdzie najbardziej udany kawałek taśmy). Potem już tylko Marek Nowicki robi fotos. Gotowe.

Aktorzy odpoczywają, albo konferują z panią Wandą; kamerę przesuwa się na nowe stanowisko; trwają drobne przygotowania do nowego ujęcia.

Za godzinę, za dwie, a może za trzy przybędzie filmowi nowe dwadzieścia, albo trzydzieści metrów taśmy... (na cały pełnometrażowy film potrzeba około 3 tysięcy).



Reżyser Wanda Jakubowska



Krystyna Kołodziejczyk i Mieczysław Stoor w jednej ze scen filmu „Historia współczesna“

Treść „Historii współczesnej“?

Młody człowiek pragnie wyjechać motorem na wycieczkę z dziewczyną. Ale brakuje mu benzyny. Kradnie więc z miejsca pracy balon spirytusu metylowego. Zużywa tylko niewielką jego część. Resztę natomiast, ukrytą w starej szopie, znajdują dwaj robotnicy: Bielas (Karewicz) i Jakubowski (Stoor). Sądząc, że to „normalny spirytus”, dzieli się po połowie. Bielas swoją część rozsprzedaje a Jakubowski? — u Jakubowskiego jest akurat wesele...

Film będzie tragiczny, ma wstrząsnąć sumieniami setek tysięcy widzów, spowodować ludzi do wielu niezbędnych przemysłów.

„Historia współczesna” będzie niewątpliwie także filmem obyczajowym. No, ale nie zamierzam opowiadać tu szczegółowo treści — już za kilka miesięcy można będzie film oglądać w kinach. Powiem tylko, że obok Śląskiej, Karewicza i Mieczysława Stora zobaczymy w nim Zofię Szabowską oraz Adama Pawłkowskiego.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI
Zdjęcia: MAREK NOWICKI

CO NOWEGO W FILMIE RADZIECKIM?

Podobnie jak u nas — również i w Związku Radzieckim produkcja filmowa w okresie letnim przenosi się najczęściej na plenery. A jednak w największej radzieckiej wytwórni „Mosfilm” nie ma przestojów.

Reżyser Skujbin, twórca znanego w Polsce ciekawego „Okrucieństwa”, kończy zdjęcie do swego nowego filmu pt. „Cudotwórcza ikona”. Scenariusz napisany został na podstawie powieści Tien-driakowa pod tym samym tytułem przez samego pisarza.

Bohaterem jest pionier Rodka, zwyczajny, z zadar-

nym nosem, p'egowaty, większy chłopczek, który pewnego razu obok stajni cerkwi odnalazł zakopaną w ziemi ikonę. Fakt ten nabrał rozgłosu, począł być wykorzystywany przez cerkiewne dewotki. Twórcy filmu postawili sobie za zadanie zwrócić uwagę społeczeństwa, że nawet w epoce rozwoju techniki, lotów kosmicznych — pozostał jeszcze silny obskurantyzm i fanatyzm religijny.

Główną rolę gra w tym filmie uczeń V klasy — Wołodia Wasiliew. Ekipa ma jeszcze do realizacji zdjęcia plenerowe w miejscowości

Wołdaj, położonej wśród gęstych lasów i jezior.

Ostatnio coraz częściej radzieccy filmowcy sięgają do dzieł Michała Szolochowa. Po udanych adaptacjach filmowych „Cichego Donu” — Gierasimowa i „Losu człowieka” — Bondarczuka, reżyser Rajzman realizuje obecnie adaptację trylogii Szolochowa „Zorany ugór”. Scenariusz napisali: Lukin i Szachmagonow. Główne role kreują: Czernow, Chitajewa, Szmakow i Piotr Glebow, znany odtwórca postaci Grigorija Mielechowa z „Cichego Donu”. Stroną zdjęciową filmu zajmuje się operator Fastowicz.

WOŁODIA WASILIEW, bohater filmu „Cudotwórcza ikona”. Czy nie podobny trochę do słynnego radzieckiego?

W drugiej moskiewskiej wytwórni filmowej, im. Gorkiego, w realizacji jest między innymi dramat obyczajowy pt. „Kiedy ma się osiemnaście lat”. Reżyserem filmu jest tym razem kobieta — Fiedorowa, zaś operatorem Polkonow. Scenariusz napisał znany scenarzysta radziecki Jeżow. Tematem filmu są złożone konflikty środowiska młodzieżowego, sprawy przyjaźni, pierwszej miłości etc.

Grają tu bardzo młodzi

aktorzy i debiutanci z najstarszych klas 268 szkoły moskiewskiej. Parę głównych bohaterów odtwarzają Tania Bogdanowa i Igor Puszkariw, którego widzieliśmy już w Polsce we wspomnianym filmie Skujbina „Okrucieństwo”. W pozostałych rolach widzowie ujrzą aktorów starszego pokolenia, m. in. znakomitego Borysa Czirkowa (Trylogia o Maksymie, „Dygnitarz na tratwie”), Nikitinę, Charitonową i Miedwediewa.

A. N.



Maggie Pierce, aktorka brytyjska

Niezastąpiony kamerdyner

Literatura, a za nią i film — lubi eksploatować pewne tematy. Znany jest np. w komedii europejskiej motyw zamiany ról: z chłopca robi się króla, z lokaja pana itd. Czynniki to Molier w komedii „Mieszczanin szlachcicem”, nasz Baryka w swym intermedium „Z chłopca król”, lub Fredro w „Panu Jowialskim”. W filmie pokazał to Chaplin („Król w Nowym Jorku”) i nie tylko on. Ostatnio do tego komediowego motywu sięgnęli Anglicy, realizując „Niezastąpionego kamerdynera”.

Powstała dowcipna i wesoła komedio-farsa, w której kpi się z lordów angielskich, ich równie usłużnych, co sprytnych kamerdynerów i pokojówek. Oto jacht bogatego angielskiego lorda zostaje zaskoczony burzą. Rozbitkowie, wśród których znajdują się i ci „wysoko” i ci „nisko” urodzeni — lądu-

ją na bezludnej wyspie. Bohaterowie filmu postawieni zostają w zupełnie odmiennych warunkach życia. Przystosowanie się do tych warunków wymaga przezwy-cieżania różnych oporów. Między innymi — owego „wysokiego urodzenia”.

Aleksander Nieśmiałek

EKRANIK

„LOS OLVIDADOS”, znakomity film meksykański, nakręcony przez sławnego hiszpańskiego reżysera-emigranta, Louis Bunuela — zakupiliśmy do wyświetlenia w Polsce. Aż pięć lat namyślała się Rada Reper-tuarowa, czy ten film za-kwalifikować, ostatecznie jednak decyzja była pomyślna. „Los olvidados” („Pół-ropień”) ukazuje w bardzo ostrej, drastycznej, lecz niezmiernie przekonującej sposób — problem wielkomiejskiego chuligaństwa. Warto dodać, że o zakup świetnego filmu Bunuela a-pelowaliśmy w „Mieszance” kilkakrotnie.

INGMAR BERGMAN — światowej sławy reżyser szwedzki — przyjął ostatnio ofertę Hollywood. Zrealizuje on w USA trzy filmy, pierwszym z nich będzie prawdopodobnie „Upadek” wg. powieści Alberta Camus. Jak wiadomo, Camus za życia nie chciał sprzedać Amerykanom praw do swej powieści, zgodził się jednak na to jego spadkobiercy.

REKORDOWE POWODZENIE osiągnął w Paryżu w ostatnich tygodniach film kryminalny p. t. „Śmierć w 45 obrotach”. Główną rolę kreuje zawsze znakomita Danielle Darrieux. Piosenka, którą Danielle śpiewa w tym filmie — stała się w krótkim czasie ulubionym prze-bojem paryżan. DONALD

